CENA 20 ZŁ

W numerze: Głosy o „Stalowych Sercach"

Odra tygodnik

KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN — OLSZTYN, DNIA 23 MAJA 1948 ROKU

NUMER 21 (130)

ROK IV

Nasza dyskusja

ALEKSANDER ROGALSKI

Pierwsze ogniwo katastrofy

Za jedne z najważniejszych zdań w niezmiernie ważkim artykule Osmańczyka o „Rodowodzie hitleryzmu" uważam te dwa: „Drzewo hitleryzmu rosło w narodzie niemieckim przez tysiąclecie" i „Parcie na wschód rozpoczęte przez Gerona wymordowaniem Słowian Połabskich było początkiem hitleryzmu". Choć bowiem czynniki natury ekonomiczno-socjalnej zwłaszcza od czasów nieudanej niemieckiej „Wiosny ludów" odegrały rolę, której doniosłość coraz silniej występuje na światło dzienne dzięki dociekliwym badaniom, podjętym szczególnie przez historyków i socjologów marksistowskich — to jednak czynniki te wytworzyły w decydującej mierze specyficzność hitleryzmu jako zjawiska, wpłynęły na spotęgowanie, na zdynamizowanie sił, które doprowadziły do hitleryzmu, lecz nie wytworzyły samych tych sił. Siły owe bowiem istniały już przedtem w takim czy innym stopniu, w takiej czy innej postaci. Korzenie hitleryzmu sięgają tysiąclecia.

Zdają sobie z tego w pełni sprawę badacze zarówno o światopoglądzie idealistycznym jak i marksistowskim.

Wystąpi to wyraźnie poniżej, gdy będę starał się odpowiedzieć na pytanie, gdzie istniało pierwsze ogniwo katastrofy Niemiec, a tym samym rozwinąć i szerzej uzasadnić pogląd Osmańczyka.

1.

Już Fryderyk Hebbel nazwał dzieje Niemiec **dziejami choroby** (Krankheitsgeschichte). Dzisiaj określenie: patologia dziejów niemieckich stało się już nawet popularnym terminem publicystycznym za granicą.

Wiele wskazuje na to, że choroba zaczęła toczyć Niemcy już w samym zaraniu ich życia politycznego. Fryderyk Wilhelm **Foerster** szuka jej początków już w okresie wędrówki narodów. W tym bowiem właśnie czasie obudziły się z letargu olbrzymie masy germańskie i runęły na posiadłości imperium rzymskiego przynosząc mu zagładę. Jednakże, dodaje Foerster, konstrukcyjne siły Germanów wzięły niebawem górę nad destrukcyjnymi: Germanie stworzyli nową jednolitą formę dla naszego kontynentu w oparciu o rozszerzone podstawy uniwersalistycznej tradycji rzymskiej, tak iż w pewnym sensie nigdy germanizm nie był tak silnie zjednoczony z Europą jak właśnie w epoce wędrówki ludów [1]).

Za niewątpliwy za to punkt wyjściowy późniejszych konfliktów Niemiec z Europą i ich odosobnienia się uważa Foerster traktat zawarty we Verdun w r. 843: „Odłączył on świat romański od świata germańskiego pozostawiając go samemu sobie i jego chaotycznym impulsom, aż przyszedł moment, kiedy nowe siły organizacyjne z północnego wschodu opanowały nieukształconą masę niemiecką, aby zastąpić dotychczasowe twórcze siły świata łacińskiego i wtrącać świat germański coraz bardziej w przeciwieństwo, a nawet w otwarty konflikt z Europą zachodnią".

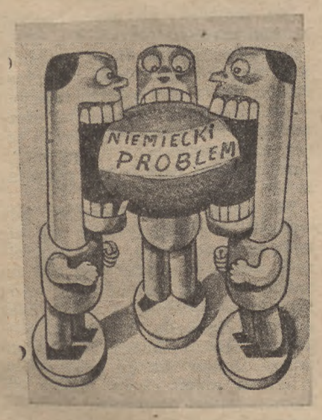

Rys. Karl Holtz

Problem niemiecki, twardy orzech do zgryzienia

Sonet diakona Florusa z Lionu z r. 843 pt. „Skargi na podział cesarstwa" wskazuje na to, zdaniem Foerstera, że istniały wówczas dalekowzroczne umysły, które w pełni przewidywały fatalne następstwa owego rozdziału. W wierszu tym czytamy: „Zapomniano o wspólnej sprawie, każdy myśli tylko o zabezpieczeniu własnego dobra. Państwo podobne jest do muru grożącego runięciem, brak jakiejkolwiek równowagi, cement wypadł, wszystkie części chwieją się!"

„Można powiedzieć, konkluduje Foerster: grzmot niemieckich armat pod Verdun, hekatomby Francuzów i Niemców złożone tam (a dzisiaj w nowym powojennym wydaniu swej książki autor dodałby niewątpliwie: oraz inferno drugiej wojny światowej), były tylko ostatnimi konsekwencjami owego pierwszego rozłączenia".

A choć zróżniczkowanie Europy i indywidualizacja narodów były nieuniknionym rezultatem rozwoju historycznego, jednakże wymagały one dla uchronienia Europy przed rozbiciem i przed wiecznymi wojnami — przeciwwagi w postaci pewnej jednoczącej formy, jaką stanowiło właśnie w duchu chrześcijańskim odnowione imperium rzymskie. Kontynent europejski istnieć może tylko jako organiczna całość. To prawo biologiczne Europy pojął Rzym w wyniku wszystkich swoich doświadczeń z okresu wędrówki narodów i zgodnie z tym postawił pod ochronę kościoła powszechnego syntezę romańsko-germańską i odwrotnie, Kościół powszechny pod ochronę romańsko-germańskiej syntezy. Rozdział z r. 843 stał się podstawą wszystkich późniejszych rozdziałów i dyssolucji. Mimo to, zdaniem Foerstera, „święte rzymskie cesarstwo narodu niemieckiego" jeszcze przez przeciąg wielu wieków po rozłączeniu od Francji wypełniało powierzone mu zadanie jako centrum europejskiej federacji i światowa podstawa jedności chrześcijaństwa europejskiego i koniec swój znalazło dopiero w r. 1866, z chwilą, gdy zniszczony został przez Bismarcka związek państw niemieckich, będący spadkobiercą i nosicielem idei cesarstwa niemieckiego.

2.

Foerster jest, jak wiadomo, żarliwym zwolennikiem federacyjnej Europy i federacyjnych Niemiec. Trzeba to mieć na uwadze, by zrozumieć jego interpretację traktatu Verdun 843 r.

Rzecz jednak ciekawa, że historyk reprezentujący całkiem przeciwną koncepcję polityczną również pierwsze ogniwo degeneracji historycznej Niemiec dostrzega w traktacie Verdun 843. Tylko że uzasadnia to oczywiście inaczej.

Historykiem tym jest prof. Fritz Roerig. W swoich bliskich marksistowskiemu ujęciu rozważaniach nad politycznym rozwojem Niemiec, opublikowanych w r. 1946 [2]) wywodzi, że traktat Verdun 843 rozbił frankońskie państwo Karola Wielkiego przeniknięte ideą jedności chrześcijańskiego zachodu i stanowiącą, przestrzenną oraz ideową podstawę późniejszego państwowo-politycznego ładu w Europie. Odtąd ku nieszczęściu Europy „na całe stulecia obciąża sztuczne między-państwo stworzone między zachodnio-frankońskim a wschodnio-frankońskim państwem — późniejsze stosunki francusko-niemieckie".

Rys. Karl Holtz

Gdzie trwają kłótnie na tematy niemieckie, tam pojawia się widmo faszyzmu i podsłuchując pod drzwiami buduje plany przeciwnatarcia...

Jednakże z upadkiem jednolitego państwa Karola Wielkiego nie wygasła jeszcze idea jedności Europy. Wcielało ją państwo wschodnio-frankońskie, którego monarcha przejął na siebie odpowiedzialność za ochronę kościoła i powiększał stopniowo swoje władztwo od cząstki karolińskiego dziedzictwa: Lotaryngię, Italię i Burgundię. Ale osłabione w międzyczasie walką z własną szlachtą państwo zachodnio-frankońsko-francuskie nie zrezygnowało z pretensji do dziedzictwa Karola Wielkiego, lecz czekało tylko na stosowniejszą okazję.

„Nadarzyła się ona, gdy król wschodnio - frankońsko - niemiecki uwikłał się właśnie jako, wedle koncepcji karolingowej, cesarz chrześcijański i król Włoch we walkę z papiestwem i gdy wskutek nieoczekiwanie wczesnej śmierci Henryka VI (1197) nastąpił na pozór nagły zwrot na korzyść roszczeń papieskich, na pozór: gdyż w istocie owoce walki cesarza z papieżem zebrała Francja. Wtedy rozpoczął się wzrost potęgi Francji pod silnym kierownictwem jej korony. Odtąd król francuski świadomie pracuje w oparciu na wewnętrznej sile własnego państwa. Król niemiecki jednak zniewolony konfliktem włoskim zrezygnuje ze spełnienia najważniejszego zadania, jakie stanęło przed królestwem średniowiecznym, mianowicie z walki przeciwko państwowemu feudalizmowi.

Tym samym złowrogą rzeczywistością aż do dnia dzisiejszego stał się ten punkt zwrotny dla całych dziejów europejskich. Niemcy wyłączały się z normalnego, wewnętrzno - politycznego rozwoju ludów europejskich. We Francji, Anglii i w państwach północnych, ażeby tylko te wymienić, torowało królestwo drogę państwu narodowemu, a przez to i państwu ludowemu. W Niemczech natomiast wyrzekła się monarchia intensywniejszej rozbudowy, możliwej dopiero od r. 1200, ogólno-niemieckiego państwa, pozostawiając tak decydujące dla wewnętrznego i zewnętrznego życia narodu niemieckiego zagadnienie, jakim był ustrój państwowy — samowoli poszczególnych książąt i panów, którzy rozbijali Niemcy w swym dążeniu do władzy.

Wszystko, co w jakimkolwiek związku pozostaje z kompleksem „państwa zwierzchniczego" (Obrigkeitsstaat), mianowicie wszystko, co z całkowitą słusznością uważa się za godne pożałowania u Niemca dzisiejszego, koniec końcu wiąże się z faktem, że w ciągu wieków stał się Niemiec obcy własnej istocie i spaczył się w dynastycznych państewkach partykularystycznych. Przyzwyczajony do działania politycznie odpowiedzialnego, poważany w świecie dzięki swej solidarności obywatel miejski wielkiego średnich stał się kołtunem i „liferantem" dworskim".

W dalszym ciągu wywodzi prof. Roerig, że w dynastycznym państwie książęcym, w przeciwieństwie do dawnego niemieckiego państwa królewskiego, brakło ścisłego organicznego związku między władcą a ludem oraz jakiegokolwiek prawa, które by umożliwiało ludności stawianie oporu rządowi, gwałcącemu swobody obywatelskie, a wreszcie przepisów ustrojowych. Tego samego brakło również „Rzeszy" od r. 1871, ponieważ stworzona została nie przez naród, lecz „od góry", mianowicie przez największe i najsurowsze z państw partykularystycznych, przez Prusy.

Feudalizm niemiecki uzyskał około r. 1200 siłą władzę urabiania wewnętrzno-politycznych stosunków w Niemczech doprowadzając do narastania straszliwej obcości Niemców w stosunku do innych narodów demokratycznych. Obcy stał się Niemiec dla innych, ponieważ obcy stał się wobec samego siebie. Z poczucia tej obcości wobec tego niezrozumiałego dla zagranicy narodu wyrosła nieufność, stanowiąca podłoże uczuciowe pierwszej wojny światowej i ostatecznej katastrofy. Ciężarem dla polityki europejskiej stała się nie Rzesza niemiecka, stare i średniowieczne państwo monarchistyczne, lecz jego stopniowe wewnętrzne rozbicie — konkluduje Roerig. Nieszczęście dla Niemiec i Europy rozpoczęło się w chwili, gdy zwyrodniała jednolita forma państwowa Niemiec i gdy tym samym powstały wewnętrzne i zewnętrzne płaszczyzny tarć.

3.

Oba powyżej zarysowane stanowiska w odniesieniu do początków anormalności historycznej Niemiec wykazują wyraźne różnice. Foerster patrzy na ten problem z punktu widzenia religijno-cywilizacyjnego: od traktatu Verdun 843 rozbita została jedność świata chrześcijańskiego. Niemcy wyłączone ze spólnoty narodów europejskich, stały się łupem własnych niszczących, odśrodkowych sił.

Roerig ujmuje problem bardziej, by tak powiedzieć, konkretnie: traktat Verdun 843 zapoczątkował wynaturzenie historyczne Niemiec przez to, że stanowiąc podstawę dalszego osłabiania jedności politycznej Niemiec, a zarazem podstawę przyszłego antagonizmu francusko-niemieckiego osłabił wewnętrzne polityczne siły narodu niemieckiego rozbijając je między poszczególne państwa feudalne i odbierając im możliwość organicznego ukształtowania niemieckiej rzeczywistości politycznej.

Stanowiska te są różne, nie są jednak ze sobą sprzeczne. Słuszny może być pogląd Foerstera na religijno-cywilizacyjne skutki rozbicia imperium karolingów. Słuszny może też być pogląd Roeriga na temat zewnętrzno i wewnętrzno-politycznych oraz socjalnych skutków tego samego faktu i wydarzeń w dalszym rozwoju z niego wynikłych.

Zastrzeżenia budzi natomiast Foerster w tym punkcie, w którym uważa on symbiozę rzymsko-romańsko-germańską, jaka znalazła wyraz w imperium Karola Wielkiego, a w pewnym stopniu jeszcze w epoce „Świętego cesarstwa narodu niemieckiego" — za fakt nie ulegający wątpliwości oraz za jedyny okres dziejów niemieckich, w którym w pełni uzewnętrzniły się twórcze siły narodu niemieckiego i jego prawdziwa istota. Wydaje się, że swoista, religijna, idealistyczna wizja Niemiec i jej dziejów, pozwalająca Foersterowi w wielu wypadkach dotrzeć do najgłębszego nurtu wydarzeń i zjawisk, tutaj skłania go do wyraźnej idealizacji rzymsko-niemieckiego imperium. Skądinąd wiemy, że współdziałanie żywiołów germańskich z rzymskimi czy romańskimi bądź zromanizowanymi nie układało się bynajmniej harmonijnie. Gdyby Foerster bliżej znał np. historię Polski ówczesnego okresu, wtedy przekonałby się, że „święci" cesarze narodu niemieckiego nader rzadko bywali w rzeczywistości świętymi i postępowali jak święci, że żądza podboju ogniem i mieczem nie była u nich mniejsza niż u margrabiów brandenburskich i że chciwość władzy i potęgi nie szła u nich bynajmniej w tyle za szlachetną troską o obronę interesów Kościoła i jego głowy [3]).

Rys. Karl Holtz

Niemcy przepołowione nie mogą żyć, wołają szpalty pism niemieckich

W cesarstwie niemieckim, rzymska może była przede wszystkim sama koncepcja, na której się ono oparło. Większość jednak cesarzy niemieckich koncepcji tej nadawała funkcję odległą zgoła od tej, która leżała w interesie uniwersalizmu rzymskiego i chrześcijańskiego. Nie należy zamykać oczu przed faktem, że idea jedności politycznej świata zachodniego i cały jej formalno sakralny sztafaż stanowiły z jednej strony osłonę, a z drugiej narzędzie do zdobycia prymatu nad światem przez wodzów germańskich.

Choć więc trzeba element rzymski w cesarstwie niemieckim oceniać dość powściągliwie, to jednak nie można zaprzeczyć, że było go na tyle, iż wystarczał, by obudzić głęboką awersję do cesarstwa u poszczególnych szczepowych książąt niemieckich. Awersja ta była powodowana nie tylko przyczynami natury polityczno-gospodarczej, ale również cywilizacyjnej. Dla książąt feudalno-stanowych, uosobiających bardziej pierwotne żywioły germańskie, cesarstwo niemieckie było za mało niemieckie, a za bardzo rzymskie. My dziś wiemy, że było ono za mało rzymskie, a za to bardzo germańskie.

Stanowisko przeciwne Foersterowi w tym względzie, a zarazem bliższe obiektywnej prawdzie zdaje się reprezentować Paul Distelbarth, który w książce pt. „Franzosen und Deutsche" pisze, że cesarze niemieccy za najwłaściwszą metodę realizowania

(Dokończenie na stronie 2)

[1]) Friedrich Wilhelm Foerster: „Europa und die deutsche Frage" (1937).

[2]) Fritz Roerig: „Geschichte und Gegenwart", Berlin 1946.

[3]) Jest to jeszcze jeden dowód słuszności tezy Osmańczyka, że esencja hitleryzmu tkwi w antagonizmie niemiecko-słowiańskim.

Rys. Lucyna Wranik

Od lewej Jerzy ks. Lubomirski, Ludwik Stecki i Karol Libelt. Na mównicy Paweł Stalmach

Za niecałe dwa tygodnie minie setna rocznica wystąpienia Pawła Stalmacha na Kongresie Słowiańskim w Pradze. Fakt ten należy do najważniejszych wydarzeń śląskich w okresie Wiosny Ludów. Ponieważ Ślązaków — pisze Stalmach w swym pamiętniku, Cieszyn 1910 — przydzielono do sekcji czeskiej, udałem się do ks. Lubomirskiego, oświadczając, że my Ślązacy jako Polacy chcemy i możemy tylko do polskiej sekcji należeć. Poradził mi, abym napisał stosowne oświadczenie, ... i w chwili przyszło przyzwolenie ze strony Czechów. Zdarzyło się wskutek tego, że dr Purkinie, który był profesorem we Wrocławiu, chociaż rodem Czech, ale chcący reprezentować Śląsko pruskie, zaraz z czeskiej sekcji przeszedł do polskiej... Powyższe oświadczenie moje było wówczas pierwszą głośną manifestacją przynależności Śląska do narodu polskiego.

Na Kongres wpłynęły trzy memoriały w sprawie śląskiej. Pierwszy, podpisany w imieniu „wszystkich równomyślnych Ślązaków" przez dziesięciu działaczy śląskich, zarówno polskiego jak i czeskiego pochodzenia, zaklina się: Rodacy, bracia! Nasze serca są z Wami i przy Was. Drugi, podpisany przez Andrzeja Kotulę nosi tytuł: Dlaczego Śląsk, ile jest słowiański, łączyć się chce do Polski. Wreszcie memoriał Stalmacha z dnia 8 czerwca, w którym wielki ten działacz narodowy stwierdza, że „przez to spojenie (o którym poprzednio mówi memoriał — uwaga red.) losów Śląska z losami Polski spodziewają się Ślązacy wszystkich konstytucyjnych swobód jako to: wolności i równości wiary, swobodnej prasy, równości w obliczu prawa tak użytego, jak przyrodzonego, więc zniesienie pańszczyzny, której panowie niemieccy żadnego współczucia ku ludowi polskiemu nie mający, a dlatego nic dla kraju nie czyniący żadnym sposobem ulekczyć nie chcą."

Śląsk wracał do Polski przez długie stulecia. Działalność Stalmacha, której fragmentem jeno jest wystąpienie praskie, nie mało się do ostatecznego jego powrotu przyczyniła. Wspominając wielkich polskiego Śląska nie zapominamy ani na chwilę, że za nimi stała zawsze wierna gromada ludu śląskiego.

II nagroda literacka
Czytelników „Odry"

Otwieramy listę składek na II Nagrodę Literacką Czytelników „ODRY". Pierwsza nagroda „Odry" wynosiła 250.000 złotych i przyznana została w roku 1947 Edmundowi Osmańczykowi za całokształt twórczości ze szczególnym uwzględnieniem „Spraw Polaków" (150.000) oraz Władysławowi Janowi Grabskiemu za trylogię powieściową „Saga o jarlu Broniszu" (100.000).

Nagroda Literacka Czytelników „ODRY" przeznaczona jest dla pisarza zajmującego się sprawami Ziem Odzyskanych i może być przyznana za książkę wydaną w okresie powojennym lub za dramat w tym okresie wystawiony na scenie oraz za całokształt twórczości pisarza związanego z Ziemiami Odzyskanymi pochodzeniem lub twórczością.

Składki Czytelników kwitować będziemy w osobnej rubryce na łamach naszego pisma.

Co robią Niemcy

Rozważanie na temat pisma Papieża Piusa XII do biskupów niemieckich, poczęte z żalu do Najwyższej Głowy Kościoła

Wystąpienie Papieża Piusa XII w formie listu do biskupów niemieckich, mówiące o teraźniejszości religijnej Niemiec a zwłaszcza uchodźców wschodnioniemieckich, o „koniecznościach życiowych narodu niemieckiego" i o „nie dozwolonym przepędzeniu dwunastu milionów ludzi — którzy przeważnie nie brali udziału w hitlerowskich przestępstwach lub zbrodniach lub nie mieli na nie wpływu — z domu i zagrody przemocą i bez odszkodowania", wciąż nie schodzi z łamów prasy niemieckiej i, jak było do przewidzenia, stało się nową nadzieją dla tych różnych rewizjonistów niemieckich, którzy dotąd nie zdążyli znaleźć się w nowym świecie politycznym Europy, w nowych koniecznościach życiowych narodu niemieckiego. List Papieża, podpisany w dniu 1 marca, w pełnym tekście opublikowany został po raz pierwszy w organie diecezjalnym Berlina „Petrusblatt" z dnia 18 kwietnia. Ten tekst też dopiero dotarł do Polski, w której, rzecz zrozumiała, musiały się podnieść gorące protesty. Ponieważ równocześnie pismo Papieża wyszło w tłumaczeniu polskim, możemy podjąć się już dokładniej jego analizy, odsyłając czytelników do wspomnianej broszury, z której w najbliższym numerze zdamy także sprawę na łamach „Odry". Dotąd, dopóki nie było w rękach czytelnika polskiego, w przygniatającej swej większości katolickiego, pełnego tekstu orędzia, atakowanie poszczególnych jego fragmentów mogło budzić wrażenie preparowania pisma dla celów politycznych.

Stwierdzić musimy na początek z żalem fakt, że pismo papieskie zarówno co do celu, dla którego zostało napisane, jak i w swym ogólnym tonie, nie mówiąc już o poszczególnych sformułowaniach, jest pewnego rodzaju aktem politycznym i jako akt polityczny musi być rozpatrywane. Wiadomo zaś, że przy rozpatrywaniu aktów politycznych zwykle grają temperamenty, padają słowa ostre. Kto wdaje się w politykę, nie może liczyć, jak w tym wypadku, na synowską uległość, na milczenie, skoro tak ze względu na odrębną powiedzmy konstrukcję polityczną jak na lepsze przeniknięcie wroga, któremu dane wydarzenie polityczne służy, ma się prawo do protestu a w każdym razie do zasadniczej dyskusji. Najlepiej, moim zdaniem, z punktu widzenia katolickiego ujęło te sprawy „Dziś i jutro", rozgraniczając postawy Ojca Świętego — jedną w sprawach wiary i moralności, która dla nas katolików jest sprawą nie podlegającą dyskusji, drugą zaś w sprawach świeckiej polityki, co do której to postawy Ojca Świętego możliwe jest zajęcie stanowiska ze strony katolików nie tylko świeckich ale i duchownych. Przykłady historyczne, które przytacza „Dziś i jutro" są nie tylko przekonujące ale zmuszają wręcz do zastanowienia się nad tragicznym rozdźwiękiem, jaki w sprawach żywo obchodzących naród polski, szczerze katolicki, zaistniał na linii Watykan — Polska.

Niektórych katolików zabolał fakt, że pismo papieskie zaatakowane zostało u nas tu i ówdzie w podobnie gwałtowny sposób jak słynna w swoim czasie stuttgarcka mowa Byrnesa. I znowu z żalem przyznać trzeba, że temperament polityczny, który nie wybiera, znajduje w piśmie papieskim argumenty, których nieodparcie w sposób temperamentowi właściwy byłoby niekonsekwencją w sprawach narodowych. Stwierdzić musimy, że pismo do biskupów niemieckich, choć nie atakuje bezpośrednio decyzji poczdamskiej, podważa prawo do istnienia jednonarodowego państwa polskiego, doradzając w wymyślnej retorycznej formie cofnięcia tego co się dokonało a więc otworzenie granic polskich dla powrotnej fali „wschodnioniemieckich katolików". Papież jest niewątpliwie mylnie poinformowany o znaczeniu i wartości tych wschodnioniemieckich katolików. Wiadomo, że właśnie na Dolnym Śląsku, w byłej rejencji wrocławskiej i legnickiej ruch narodowosocjalistyczny — poza Monachium — miał najwięcej zwolenników. Tu najwcześniej zostali pokonani komuniści. Tu w Świdnicy, do której w roku 1932 zajeżdża Hitler na inspekcję oddziałów SA, powstaje słynna narodowosocjalistyczna „Trotzburg". Moglibyśmy operować samymi cyframi, gdyby ktoś z łaskawych czytelników mógł nam dostarczyć cenne wydawnictwo niemieckie pod prawdopodobnym tytułem „Die Entwicklung der nationalsozialistischen Bewegung in Schlesien", które wymownie podważyłoby obecne tezy Papieża o katolikach wschodnioniemieckich. A już do najbardziej mylnych informacji należy określenie całego procesu wysiedlania żywiołu niemieckiego z granic Polski jako postępowania „bezprzykładnego (beispiellos) w przeszłości Europy". (Tłumaczenie: „niebywałe" na łamach „Dziś i jutro" nie jest wierne i nie oddaje, naszym zdaniem, właściwego tonu tego zdania). To sformułowanie niewątpliwie wzbudzi najżywszy protest polski. Równocześnie zaś pod własnym adresem należy wyrazić żal, że dotąd nie zdołaliśmy w formie międzynarodowej broszury, popartej dokumentami i fotografiami, przedstawić światu owego procesu wysiedleńczego, który Niemcy dokonali na ziemiach polskich. Że zaś broszura taka czy memoriał nie dotarła do Watykanu, to winić o to musimy własne władze kościelne. Jeśli zaś, co uważamy za prawdopodobniejsze, informowaliśmy koła papieskie o formach i rozmiarach tego rzeczywiście „bezprzykładnego w dziejach Europy" postępowania Niemców na ziemiach polskich, to stanowisko Papieża uznać musimy za swoisty wyraz wyraźnej orientacji proniemieckiej tym więcej swoisty, że nie pokrywający się z rzeczywistymi faktami.

Ojciec Święty z pewnością myli się także, jeśli uważa, że rozproszenie katolików wschodnioniemieckich po całych Niemczech może i powinno wydać doraźny efekt misyjny wśród ogromnych ilości protestantów niemieckich. W tym celu może, dla skoordynowania akcji misyjnej (ex oriente lux), powołano biskupstwo osobne dla wszystkich wysiedleńców niemieckich. Myli się Ojciec Święty w tym wypadku tym bardziej, że pierwsze doświadczenia z centralizacją potrzeb duszpasterskich wysiedleńców niemieckich przekonały nas wyraźnie, że również i ta instytucja, powołana do życia być może z najlepszą wolą, wykorzystana została przez kler niemiecki oraz przez szerokie rzesze katolików niemieckich do ostrej akcji rewizjonistycznej, antypolskiej, miejscami jawnie hitlerowskiej. Nam grozi Papież wyrokiem historii, który — jak mówi — oczywiście wypadnie ostro. W tej chwili jednak Papież ma prawo do historycznego wyrokowania w sprawie minionej niemieckiej pełnej oszkliwych bezeceństw wojny. Uczynił to, jak wspomnieliśmy, jednym zaledwie zdaniem we wspomnianym piśmie. Oto jest jeszcze jeden przykry wydźwięk tej całej politycznej historii, wykorzystywanej przez Niemców dla celów zgoła Kościołowi niepotrzebnych. Papież pozostawił do oceny biskupów sposób, w jaki pismo Jego podane ma być ludowi niemieckiemu. Już teraz możemy powiedzieć, czytając prasę niemiecką, m. in. także katolicką, że pismo Papieża stało się powodem niewybrednych ataków politycznych na Polskę. Przy tej okazji oczywiście nieraz oberwało się również i Rosji. Sentyment proniemiecki Papieża, wyrażający się we wspomnianym piśmie w takich określeniach jak „złota Moguncja", „niemiecka przeszłość sławna i silna wiarą" lub we wspominaniu niektórych rocznic niemieckich, nadaje wystąpieniu temu szczególnie intymny poufny niemal ton. Wygląda tak, jakby to Papież spowiadał się ze swej miłości do Niemiec przed narodem niemieckim.

Katolicyzm niemiecki po wojnie może się pochlubić wielu cennymi osiągnięciami w zakresie wychowania i organizacji katolickich. Ale równocześnie, podobnie jak się to dzieje z niektórymi partiami lewicowymi, opanowywany jest powoli przez reakcyjne elementy rewizjonistyczne, prohitlerowskie. Ta reakcyjna partyzantka niemiecka, hulająca swobodnie po szerokich obszarach polityki niemieckiej, mająca doradców swoich w szeregach niektórych aliantów, z radością przyjęła desant papieski, który choćby nawet poczęty z najlepszej woli Arcypasterza Kościoła, służyć będzie szkodliwym i niepoczytalnym tendencjom. Stąd nasz szczególny żal. WISZ

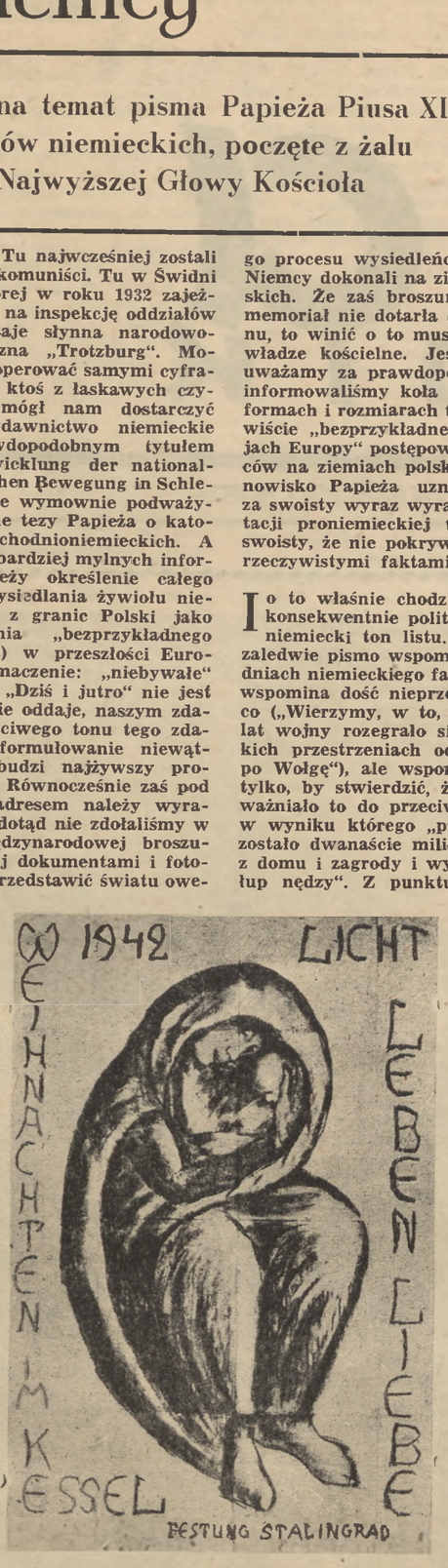

Madonna stalingradzka. Rysunek na pocztówce ks. Kurta Reubera, grudzień 1942. Skromny rysunek doznał niespodziewanej czci w Niemczech i służy jako jeszcze jeden argument „nieprzerwanej łączności Niemców z katolicyzmem i z prawdziwą wiarą". Rysunek powstał w Stalingradzie w okresie beznadziejnym już dla zamkniętych tam wojsk niemieckich, kiedy sytuację lepiej określał okrzyk „jak trwoga to do Boga" niż fanfarońskie dziś wspomnienia o wiernych Bogu żołnierzach Stalingradu. Wszyscy wiemy najlepiej, co sądzić należy o niemieckim sposobie wojowania, pod Stalingradem zaś nie walczyli Niemcy „bogobojniej", niż gdzie indziej. Dlatego używanie świętych symboli katolickich dla celów wybielania zbrodniczej armii przed katolicką opinią świata ani nie jest smaczne ani potrzebne

TADEUSZ SZAFRANIEC

Dokument

Wiosna ludów zastała na tronie pruskim — pajaca. Wabił się Fryderyk Wilhelm IV. W czasie długiego, do 45 roku życia oczekiwania na koronę, naczytał się więcej niż inni następcy tronu, kotłowały mu w umyśle jakieś plany reform. Nieobliczalny, gwałtowny wyżywał się ostatecznie w bombastycznych frazesach i teatralnej ostentacji w pięknym kroju munduru. Kubek w kubek Wilhelm II i Goering Ostatni.

Lecąc na popularność rozpoczął rządy szeregiem efektownych a tanich posunięć (np. przywrócił na stolicę prymasów Polski arcybiskupa Dunina, prześladowanego za opór w sprawie małżeństw protestancko-katolickich). Radykalny historyk niemiecki, Struve, określa, że ten frazesowicz w koronie mógł być „wzorem dla wszystkich, którzy są wielcy w słowach, mali w czynie"...

Dni marcowe 48 roku w Berlinie najlepiej tego dowiodły. Gdy w walkach tłumu z wojskiem padło na barykadach 216 trupów, w tym 5 kobiet i dwoje dzieci, wzburzony lud poniósł je na marach na dziedziniec zamku królewskiego, domagając się, by pajac wyszedł na balkon. Wychodzi, trzymając pod rękę chorą, mdlejącą królową. Pokazano mu zmasakrowane rzędy zwłok i poszedł krzyk przez masy:

— Hut ab! (kapelusz zdjąć).

Zdjął posłusznie, tłum dalej:

— Zejść na dół!

Cóż miał robić strachopud? Zeszedł. Trupy w liczbie 216 defilowały przed monarchą, tak rozkochanym w paradach. Królowa zemdlała, a król w dniach następnych musiał się kłaniać z balkonu już nie trupom, lecz żywym więźniom, wypuszczonym z Moabitu z naszym Mierosławskim, dzięki któremu miewał nieraz i wtedy i później „cikoriję w portkach", jakby powiedział Sabała, baśniarz Podhala. Miewali i inni. Nie tylko młody Bismarck, sam również tak czelny i trzeźwy car Mikołaj I. Oświadczył on, że jeśli kiczliwy Polaczyszka, pan Mierosławski, poważy się raz jeszcze pojawić na ulicach Berlina z kosą, na wymoszczonym chłopskim wozie, użyje siły zbrojnej, aby pomścić obrażony majestat berlińskiego pomazańca!

Przy zapalonych stojąc lontach nadaje Fryderyk Wilhelm IV konstytucję Prusom

Fryderyk Wilhelm IV, kuglarz sprytny i pomysłowy umiał przekostiumować się w mig. Rzucił hasło jedności narodu niemieckiego, bardzo mgliste i nieuchwytne, bo utopione w szeregu frazesów bez pokrycia, ba, zastrzegał się nawet, że nie myśli sobie uzurpować prawa do korony cesarskiej! Lecz w głębi duszy myślał tak jak mówił jeszcze rok temu, otwierając sejm zjednoczony: Nie dopuszczę nigdy, ażeby między Boga w niebie a ten kraj wcisnęła się jakaś karta papieru, niby druga Opatrzność, zastępująca starą, świętą wierność!"

Musiał wreszcie podpisać obmierzłą, przeklętą kartę konstytucji, przedartą wolą pruskiej racji stanu jak zwyczajny świstek papieru. Żyła wszakże dłużej jako ostrzegający wyrzut sumienia w dynastii Hohenzollernów.

Zaraz to zobaczymy.

Bardzo mało znane są u nas wynurzenia pamiętnikarskie eks-cesarza Wilhelma II. Ja np. nie wiedziałem wcale, że „rede-rajzekajzer" miał w ogóle ochotę w chwilach wolnych od rąbania drzewa w Doorn na snucie przędzy wspomnień. Jeden z kilku ogłoszonych drukiem tomów nosi tytuł: „Z mojego życia" (Aus meinem Leben). Warto je przejrzeć. Interesujący nas tu szczegół miał miejsce w czerwcu roku 1886. Opisany z przejęciem, dramatyczny dla Wilhelma. Ukochany jego ojciec ginie, żarty rakiem krtani. Ostatnie tygodnie. Już ani jeść, ani mówić nie może. Najwyższym wysiłkiem tarabanią go do wozu, aby odebrał w parku szarlotenburskim w pełnym mundurze paradę pułku przybocznych kirasjerów, dowodzonych przez jego syna. A ten syn przybity bólem. Nic mu nie w smak, ani bliski tron, ani niedawne łowy u Radziwiłłów w Nieświeżu, gdzie ubił własnoręcznie na 50 kroków niedźwiedzia-piastuna i niedźwiedzicę z małymi. (Nasz arcy-malarz Julian Fałat uwiecznił zadowoloną gębę pogromcy niedźwiedzicy z młodymi! Trzeba jednak przyznać, że Wilhelm II umiał wybierać w rzeczach sztuki; wiedział, że jeśli knieja i śnieg to w Polsce Fałat jedyny, jeśli wojsko i parada — Wojciech Kossak).

Rys. A. Mentzel

Kronprinc Wilhelm w epoce zapieczętowanego dokumentu

Pierwsze ogniwo katastrofy

(Dokończenie ze strony 1)

swych zamierzeń politycznych uważali miecz: „Nie widzieli oni tego, że Kościół był władzą duchowną, że sił duchownych nie pokona się drogą przemocy fizycznej. Nie chcieli tego nawet widzieć. Chcieli toczyć wojnę. Wojna, to był żywioł ich życia... Co z tego zostanie na stałe, o to nie troszczyli się zupełnie... Byli o wiele wybitniejsi niż niepozorni królowie francuscy. Lecz cóż z tego? Spadało na nich przekleństwo, jakim obciążone są wojny i wojownicy". Distelbarth dowodzi, że według cynicznej maksymy, którą z takim zamiłowaniem posługiwali się Moltke, Bismarck i Hitler, mianowicie, że „Bóg jest zawsze tam, gdzie są silniejsze bataliony", postępowali już średniowieczni cesarze niemieccy [4]).

4.

Z powyższego wynika również, że korektywu domaga się także pogląd Foerstera, jakoby kontynuacja ducha uniwersalistycznego cesarstwa niemieckiego miała miejsce w niemieckich państwach związkowych.

Zagadnienie to wyraźnie oświetla inny dzisiejszy historyk niemiecki — marksista Ernst Niekisch w książce pt. „Deutsche Daseinsverfehlung", wydanej w Berlinie w r. 1946.

Niekisch podkreśla, że zwycięstwo papieża nad cesarzem przy pomocy żywiołów feudalno-arystokratycznych bynajmniej nie wzmocniło idei uniwersalistycznej. Prawdziwymi zwycięzcami z tej walki wyszli przedstawiciele właśnie anty-uniwersalnych i partykularystycznych sił. „Pokazało się, że uniwersalizm cesarstwa był tak sprzeczny z niemieckim feudalno-stanowym księstwem jak uniwersalizm papiestwa: otworzył on horyzont, który nie okazał się bynajmniej germański. Był pogwałceniem istoty niemieckiej, łożem prokrustowym, za długim dla niemieckich członków. Niemiecki protest przeciwko działającemu nadal jako rzymska reguła uniwersalistycznemu horyzontowi pojawił się — w niemieckiej Reformacji".

W dalszym ciągu wywodzi Niekisch, że choć cesarstwo niemieckie w czasach Reformacji znowu wzniosło się do szczytu przewyższając za Karola V swą rozległością antyczne imperium rzymskie, okazało się jednak tworem efemerycznym. Opierało się na arystokratach, junkrach, którzy umieli używać miecza, łupić brutalnie i wyniszczać obce narody, nie potrafili zaś zorganizować rozległych terenów. Uczynić to mógł, zdaniem autora, tylko niezależny element mieszczański, a tego Niemcom brakło. Reformacja mogła urzeczywistnić idee, które przyniósł z sobą humanizm: mogła stać się niemiecką rewolucją mieszczańską Tymczasem gdy Reformacja przyniosła w Szwajcarii, Holandii, a później w Anglii uświadomienie i niezawisłość polityczną oraz socjalną mieszczaństwa, w Niemczech — wzmocniła pozycję książęcego partykularyzmu W rezultacie niemiecki mieszczanin stał się podanym (der Untertan), ślepo posłusznym swej zwierzchności. Nie wolność, lecz posłuszeństwo stanowiło ideę kierowniczą jego społecznego i politycznego bytu. Od tego momentu zaczęła się objawiać przepaść umysłowa i moralna między mieszczaństwem niemieckim a zachodnio-europejskim. W Holandii i Anglii przyniosła Reformacja imperializm mieszczański. Niemcom zaś spotęgowany uniwersalizm. Wtrąciła je w ciasny kąt partykularza. „Mieszczanin niemiecki utracił w marnych granicach swego państwa zwierzchniczego kontakt z wielkim światem, stał się śmiesznym kołtunem, któremu zawsze wydawało się, że nigdy nie może mieć racji wobec mądrości swej władzy. Nie miał żadnej odwagi w stosunku do siebie samego, jedyną jego ambicją było sumiennie wykonywać to, co mu jeszcze wykonywać pozwoliła zwierzchność. Podczas gdy holenderski mieszczanin zdobył imperium kolonialne, niemieckie mieszczaństwo zdziwaczało i zwyrodniało w zaułku swej „własnej ojczyzny", „Eigene Heimat" i swego zwierzchniczo-państwowego lokalnego patriotyzmu".

Jakiekolwiek było średniowieczne cesarstwo niemieckie, wszelako tęsknota za nim na tle partykularnej mizernej rzeczywistości nigdy nie wygasła. Straciwszy nadzieję zdobycia imperium światowego — tym większą gorliwością i zapałem poczęto w Niemczech zdobywać imperia wewnętrzne: „Faustowski pęd ku nieskończoności — stwierdza Niekisch — stanowił dla biednego mieszczańskiego poddanego środek odurzający, po który sięgał, by zapomnieć o żałosnej tępocie swego zaściankowego zwierzchniczo-państwowego życia". Odtąd rysami zasadniczymi świadomości mieszczanina niemieckiego stały się: marzycielstwo, nieprzytomna fantastyka, brak zmysłu rzeczywistości i zmysłu umiaru.

Tyle Ernst Niekisch. Stanowisko jego zbliżone jest do poglądów prof. Roeriga. I on bowiem główne zło dostrzega w niewytworzeniu się w Niemczech wewnętrznych organicznych sił politycznych. Zarazem jednak podkreśla wszystkie nie wyzyskane przez Niemców szanse. Jego zdaniem, Niemcy mieli okazję zbudowania wielkiego imperium na podobieństwo brytyjskiego czy holenderskiego, opartego na realiźmie politycznym i zmyśle organizacyjno-handlowym warstwy mieszczańskiej. A choć Niekisch potępia metodę miecza, my wiemy, że takie imperium niemieckie, jakie on ma na myśli, byłoby dla nas równie niebezpieczne, jak to pierwsze i jak Zakon Krzyżacki, a kto wie, czy nawet nie bardziej jeszcze groźne: oznaczałoby dla nas śmierć. Jeśli w tym widzieć niewyzyskanie przez Niemców pewnych możliwości historycznych, to musimy je wbrew intencjom autora umieścić nie na koncie ujemnym Niemiec, lecz na ich koncie dodatnim.

Przedstawiłem tu kilka stanowisk, mogących uchodzić za reprezentatywne, a odnoszących się do pierwszego ogniwa tego dziejowego procesu, którego ostateczny rezultat stanowiła Trzecia Rzesza.

Wydaje się, że mimo wszelkich różnic zarówno w sposobie oceny zjawisk jak i w ich selekcji, poglądy te pozwalają na ustalenie, jakie elementy historyczne na przestrzeni pierwszych wieków dziejów odegrały rozstrzygającą rolę w późniejszym rozwoju dziejowym i na czym te elementy polegają. Wyniki tych rozważań i zestawień można by zamknąć w jednym zdaniu: „Epoka cesarstwa niemieckiego wytworzyła przez odłączenie Niemiec od świata zachodniego i romańskiego oraz przez podział Niemiec na mnóstwo ciasnych, zamkniętych państewek opartych na zasadzie autorytetu książęcego — całkowitą bierność i trwałą niedojrzałość polityczną społeczeństwa niemieckiego, a tym samym uczyniła je bezwolnym narzędziem w ręku tej w najwyższym stopniu aktywnej siły, która wyciągnęła wszelkie konsekwencje z zasady autorytetu książęcego i powiodła Niemcy długą, lecz prostą i niezawodną drogą ku katastrofie.

Siłą tą były Prusy.

Aleksander Rogalski

NINA RYDZEWSKA

Na

Pociąg przystaje znowu. Na lewo jezioro Grodno lśni w chłodnym słońcu jak żywe srebro. Tuż przy torze — wąziutkie a długachne jezioro Patulskie. Dobrze byłoby wyjść na chwilę z pociągu, rozprostować zdrętwiałe nogi i jak ongi z Jakubem, prawie że przed pół wiekiem, powędrować pieszo po piachu aż do tej pięknej Krzeszny, potem znów brzegiem Ostrzyckiego, by odpocząć dopiero na Kolanie.

Budzi Marcina.

— Popatrz no, Marcin, popatrz. Tędy to wędrowałam z twym dziadkiem, a moim ojcem, gdy miałam lat chyba z dziesięć. Kabot miałam na sobie macoszyny, sięgający niemal do kostek, chuścinę jakąś na łbie, wiatr dął, straszna ci była dma, aż druty w górze grały.

Ale Marcin nijak nie mógł wyobrazić sobie babki dziesięcioletniej. Ta babka, ładna jeszcze, ale z marszczącą się już twarzą, zmęczonymi bolesnymi oczyma i nogami spuchniętymi jak banie, ta babka była kiedyś dziesięcioletnim skrzatem?

A ona! Jakby wędrowała tym szlakiem wczoraj, tak dobrze przypomina sobie ten kraj garbaty, pełen wód, wzgórków i gaików. Jak te jakie fernogi szli dniami i nocami, wędrując tarasami kęp, parowami pełnymi tajemnicy, które głębokim cieniem małe dziewczę straszyły. Pamięta domek Jana Janojca i cudaczne plecionki, co migały mu ino w rękach. Pamięta ich krewniaka, co to tak źle ich przyjął, choć przydźwigali mu karzynę. Pamięta też „niedźwiedzia" i jego nenkę, której nos długi, zagięty jak pogrzebacz stykał się prawie z brodą. Pamięta też Bareszkę i jej starego tatka, co to wzdychał ciągle i pluł i, ten nocleg w rynkowym szynku, gdzie to jej lekkomyślny ojciec wszystkie pieniądze był ostawił i, tę przystań, gdzie płatali się w sieciach jak w gęstej pajęczynie, szukając i nie znajdują łodzi, i ów Trakt Bursztynowy wiodący ojca i małe dziewczę w dziwny, nieznany świat ku dalekiemu morzu.

Tak jak teraz, mijali wtedy Skorzewo i Gołubie, za którymi pola tylko, bielawy i rozlewiska. Tak jak teraz mijali wtedy Krzesznę, docierając z ogromnym trudem do Wieżycy. Pamięta gościniec „Pod Wieżycą", gdzie przy wesołym ogniu grzali skostniałe ręce. Pamięta owe bory kartuskie, do których stąd niedaleko. Jak to straszył ją wtedy ojc: „Ty! W tim borze są dremne..." Gdyby była naówczas sama, trochę by się tych dremnych bała, ale z mocnym jak stolem ojcem! Z nim nie bałaby się i Smantka, i wielkiego jak Łyska pod Kościerzyną Krziżoka.

Pamięta też, jak to któregoś dnia stanęli w oszołomieniu nad ogromną nieznaną wodą. Takiej szarozielonej bezbrzeżności, takiego zlania się wody z niebem w jedno nie spodziewała się zobaczyć.

Morze! Zobaczy je niezadługo, bo mijają już przecie Żuków z pięknym kościółkiem w dali, stojącym nad Radunią.

— Już Stara Piła, patrzcie! Lezno jeszcze — Kokoszki — Osowa — Wielki Kack — i będziem wszyscy w domu — informuje jeden z podróżnych, któremu tak jak i Weronice bardzo się widać spieszy.

Oto i Wielki Kack. Jak silnie pachnie morzem... Pociąg zjeżdża stromo z wyżyny w dół. — Lasy, bory, urwiska i — morze! morze! morze!

— A więc jesteśmy w domu — westchnęła Weronika.

— W domu? — roześmiała się Petra. — Gdzie matinka ma tutaj dom?

Po wyjściu na peron zaczęli szukać dworca. Gdzież ten dworzec, gdzie się, na Boga, podział? Stał tu przecie niziutki i przysadzisty, kryty czerwonym łupkiem — stał jak kraśnię w swojej czerwonej mucce przez tyle lat, a teraz nie pozostało z niego nic?... Ano, z miast całych nie pozostało nic. Wojna.

Pierwszą myślą Marcina, gdy wysiedli z pociągu, było: już nie będę tu szukał ojca. I żal mu ścisnął serce, że nigdy już, ani na lądzie, ani na morzu ojca swojego nie odnajdzie. A inni? Taki Aloszk, Jignoszk, Ksawerk, Boleszek? Każdy, każdy ma swego tatka. Jeden ma go przy sobie, drugi na niego czeka. Tylko on, Marcin — na swego nie doczeka się nigdy.

Weronika nie poznała na razie domu, w którym mieszkała po sprzedaniu checzy babki Doroty. Powitała ich żałosna ruina czteropiętrowej kamienicy: osmalona fasada bezdrzwi, okien, sufitów, dachu; przepalone do rdzenia mury, zryta, poszczerbione głęboko ostrymi pociskami narożniki, dziury w zewnętrznych ścianach, odsłaniające piece, rury rude od rdzy i wanny wiszące na resztkach muru.

— Spójrz, matinka! — krzyknęła Petra. — Tam, gdzie ten żółty piec — pamiętasz? Tam, gdzie ten żółty piec, było nasze mieszkanie. Na lewo stało lustro, na prawo biblioteczka...

Ale Weronika nie chciała patrzeć w górę. Na ruiny ma znowu patrzeć? Na ruiny swojego życia, co ruiną stało się już przed wojną? Największy tobół znowu zarzuciła sobie na plecy, w obie ręce schwyciła co największe kuferki i nie oglądając się za siebie, ruszyła naprzód.

— Dokąd mama tak biegnie — z rozdrażnieniem spytała Petra.

Książka Ziem Odzyskanych

Niedawno spłynęła mi na biurko ciekawa książeczka. Tytuł jej zdołał się już wprawdzie opatrzeć: „Ziemie Odzyskane", ale na uwagę naszą zasługują okoliczności jej wydania. Szkice historyczne, opatrzone ogólnym tytułem, autorem których jest p. Władysław Pałucki (Antoni Błoński), historyk, napisane zostały w latach 1946-47 w Wielkiej Brytanii i wydane tamże, to jest w Londynie w roku 1947 u F. Mildner & Sons, Herbal Hill, Londyn, E. C. 1. W pierwodruku ukazały się one już to w londyńskim piśmie wojskowym „Bellona", już to w stosownym zeszycie „Tek historycznych" wydawanych przez Polskie Towarzystwo Historyczne w Wielkiej Brytanii. P. Pałucki pisze w przedmowie, iż pierwotnym jego zamiarem było wydrukowanie ponownego, poszerzonego, wydania książki „Wracamy nad Odrę" jaką wydał w Anglii w roku 1943. Autor tak pisze w przedmowie: „Z chwilą zakończenia działań wojennych sądziłem, że wydanie wspomnianej pracy w jej pierwotnym układzie nie jest już tak konieczne, jak uprzednio, bowiem wysunięta tam koncepcja została całkowicie zrealizowana. Polska wróciła nad Odrę i Nysę Łużycką, co każdemu z nas od lat pracującemu nad zrealizowaniem tej koncepcji dawało niemałą satysfakcję moralną. Ale w zmienionych już dzisiaj warunkach sama sprawa nie przestała być aktualną. Przeciwnie jest naszym obowiązkiem wytężyć wszystkie siły, by zbliżyć się do prastarych naszych Ziem nie tylko fizycznie, lecz także i psychicznie, zwłaszcza poznać ich przeszłość, polityczną i duchową łączność z Polską, oraz udział ich w ogólnopolskim dorobku kulturalnym".

Zgodnie ze swoją wytyczną p. Pałucki umieszcza w 134 stronnicowym estetycznie wydanym zbiorku szkice następujące: Dziejowe prawa Polski do Ziem Odzyskanych, Problemy jedności Z. O., Sprawa nazw geograficznych, Kultura Polska na Z. O., Powojenne studia historyczne nad Ziemiami Odzyskanymi. Wszystkie tematy mamy doskonale opracowane w naszej literaturze krajowej, wydawanej po wojnie, ale przyznać trzeba, iż te emigranckie szkice są bardzo solidną syntezą i rekapitulacją poszczególnych zagadnień — pożyteczną dla laików, nie tylko mieszkających na emigracji w Wielkiej Brytanii, ale nawet znajdujących się w kraju.

Pochwały godny jest wysiłek i osiągnięcia autora, który w warunkach emigracyjnych podjął się szczytnej pracy gruntowania wiedzy o Ziemiach Odzyskanych dając tym jeszcze raz świadectwo, że sprawa Ziem Odzyskanych jest nam wszystkim jednakowo drogą i ważką, bez względu na dzielące nas poza tym różnice i bruzdy.

Kazimierz Koźniewski

TADEUSZ SOKÓŁ

Przełom dunajcowy

Dance

Nie dosięgnę oczami pod dlonią
tej zieleni, która tonie w chmurze,
lecz jakże mi nie słyszeć,
lecz jakże mi nie słyszeć,
jak język fal liże zbocze Koron.

Z czeskiej strony wieje zapach liści
jarzębiny.
Z czeskiej strony rybak złowił rybę:
łosoś w pyszczku niósł bałtycką sól,
łosoś w ślepiach niósł wiślane łzy.

Wodzie zawsze trzeba walczyć z
ziemią.

Nie zanurzaj dłoni w dunajcowej
wodzie,
nie zatapiaj oczu w przejrzystej gię-
Topiel drży **binie.**
i po dnie przetacza
białą wełnę owcy chwyconej znie-
nacka.

A po stronie polskiej fujarka.
A po stronie czeskiej elektryczność.

Rybak śpiewa.
Echo odpowiada:
Hej, hej towarzyszu — szczęść Boże!

zapieczętowany

Ale oddajmy głos samemu kronprincowi, który w Charlottenburgu asystuje ostatnim tygodniom życia ojca:

„Przechadzając się po tarasie nowego pałacu rozmawiałem z ministrem sprawiedliwości Friedbergiem, najbliższym zaufańcem mych rodziców. Powiedział mi, że

Umierający Fryderyk III asystuje ostatniej paradzie wojsk (maj 1888)

na wypadek śmierci mojego ojca, przedłożone mi będzie szczególnie ważne pismo, nad którego treścią powinienem się gruntownie zastanowić! Powiem od razu, o co chodziło. Było to zapieczętowane pismo króla Fryderyka Wilhelma IV. Na kopercie widniała pieczęć państwowa, niżej podpisy mego dziada Wilhelma I i mego ojca (który jako Fryderyk III rządził przez 99 dni, uwaga moja). W piśmie zapieczętowanym zobowiązywał on swych następców, aby pomijając wymuszoną przez rok 1848 konstytucję, wprowadzili w życie pierwotny ustrój, bo jedynie przy jego pomocy można rządzić w Prusach. Gdy po objęciu rządów otrzymałem od Friedberga ten dokument, zrozumiałem momentalnie, że nie śmie on nigdy dostać się w ręce jakiegoś niedoświadczonego następcy tronu, bo mógłby wyrządzić wiele złego. Rozdarłem go więc i spaliłem na kominku. Na kopercie napisałem pod datą dnia: czytałem i spaliłem! Koperta powędrowała do akt państwowej kancelarii."

Tyle Wilhelm II. Właściwie nic się nie zdarzyło osobliwego: jeden pajac spalił pismo drugiego pajaca, nie mogąc się pohamować od chełpliwej przymówki do „niedoświadczonych" następców tronu!

Skoro już o tym mowa, posłuchajmy, jak się on nieco później (1889) przedstawił oczom dyplomaty narodowości polskiej. Był nim sekretarz nuncjatury watykańskiej w Monachium, ks. Jan G n a t o w s k i, dość głośny nowelista i świetny stylista pisujący w tamtej epoce pod pseudonimem Jana Łady. Opisuje on jakiś jubileusz dynastii wirtemberskiej, na który Wilhelm II, nie uznający życia bez parad, przybył osobiście, otoczony przez wszystkich prawie książąt i książątka, wraz z następcami tronów.

Aktualny król Wirtembergii był kulawy i nie opuszczał fotelu w ogóle. (Z tymi królami wirtemberskimi jest stale kłopot. Prawie każdy ma jakiś defekt kaduczny. Srodze klął Metternich na kongresie wiedeńskim 1815 r., gdyż mu Wirtembergia podniosła o pardziesiąt guldenów i tak potworny budżet widowiska. Król wirtemberski był bowiem tak potwornie otyły, że musiano wyżynać dlań osobne wgłębienia we wszystkich stołach biesiadnych i konferencyjnych.)

Dopuśćmy jednak do słowa ks. Gnatowskiego. Pisze on: „Widywałem Wilhelma II i później nie jeden raz, ale nigdy tak blisko i tak dobrze. Co mnie w nim szczególnie uderzyło, to jego niesłychana ruchliwość... Żaden bodaj z monarchów współczesnych nie był w tym stopniu przestrzegaczem dworskiego ceremoniału. Wilhelm, widziany na fotografiach w swym ogoniastym płaszczu, unoszonym przez paziów, robił wrażenie hieratyczne, ale dlatego jedynie, że do zrobienia fotografii wystarcza minuta czasu. Dłużej nad minutę nie umiał utrzymać w spokoju swego majestatu. Jego nerwowość i nadmiar sił żywotnych zmuszały go wnet do rzucenia przywdzianej na chwilę maski i przeistaczały go w mgnieniu oka w coraz to nową postać."

„...dostrajał się do tego, z kim mówił i w sposób wprost zdumiewający stawał się kolejno artystą, poetą, pastorem, estetą, okultystą, plotkarzem, filozofem, postępowcem i niemal republikaninem. On, który podczas mego pobytu w Monachium podpisał się w ratuszowej księdze pamiątkowej pod sentencją: suprema lex regis voluntas (wola królewska najwyższym prawem), przyjmował od socjalistów niemieckich w Lizbonie srebrny serwis i odpowiadał na ten podarunek przemową, jakiejby nie powstydził się Liebknecht."

„Po paradnym obiedzie, w cercle'u urządzonym dla ciała dyplomatycznego, Wilhelm stał przez chwilę skamieniały w swej wspaniałości, obok małżonki, masywnej, berlińskiej „hausfrau", rozmawiającej o jegerowskich kaftanikach i ciepłych pończochach, mimo, że był nieznośnie upalny lipiec. Wnet jednak obszerny salon rozebrzmiał głośnym śmiechem kajzera i z największym zdumieniem zobaczyłem go przebijającego gęsty szpaler ambasadorów, by podbiec do siedzącego na boku kulawego króla. W chwilę później znajdował się już w przeciwnym kącie sali, z ogromnym cygarem w ustach, mimo, że nikt nie palił. W minutę wyrósł jak spod ziemi obok mego szefa, poprawiając swą istotnie doskonałą francuszczyzną jego włosko-francuski żargon. Na widok tego szczególnego człowieka, niezdolnego jednej chwili zatrzymać się na miejscu i zmieniającego barwę jak kameleon, narzucało się mimowolnie podobieństwo z Figarem." (Jan Łada: O minionych czasach i ludziach. Przegląd Warszawski, nr 46 i 47.)

W myśl anegdoty: słoń a sprawa polska, należałoby ująć Wilhelma II pod tym kątem. Jeśli rzecz ma być zupełna, autor jej musiałby ogarnąć całą klawiaturę, na której — od wiekowej polityki do małych intryżek, do zainteresowania sztuką, erosem i guzikami od mundurów — grać by umiał.

Materiału jest do diabła i trochę.

Tadeusz Szafraniec

swoje

— Czy mamy się dokąd spieszyć, mamy tutaj swój dom?

— Musimy się, córko, spieszyć. Trzeba się gdzieś zaczepić. Noc. A dom? Wszędzie tutaj nasz dom.

I oto bezmiar wód. Błękitna i srebrna w słońcu, a koloru oliwy i krzemienia w cieniu — woda morska.

Szli poprzez zagony gruzu, potłuczonych cegieł i szkła. Niektóre domy pokładły się na ziemię, każdy prawie miał kilka ran, dziur ogromnych jak ogrodowe parasole, każdy był odrapany, odarty z tynku, sponiewierany. Cegły wyzierały z białego muru, jak ogniste liszaje.

Brzeg, którym szło się ongi do Francka, brzeg zawalony kiedyś głazami i żółtymi blokami gliny morenowej, zwężony przez wody podziemne do tego stopnia, że przejść nim było trudno — zmienił się dzisiaj tak, że nie sposób go było poznać. Znikły głazy i morenowe bloki, znikła wąziutka steczka pod stosem rudego, nie wiadomo od krwi czy rdzy, żelastwa, szmelcu rozbitych aut, okrętowych maszyn, wypalonych pocisków.

Szli długo drogą nadmorską zniżającą się ku bielawom i rejom pociętym siecią kanałów i chylońskim strumieniem, szli starym łożyskiem pra-Pregoły, zapominając o przeżyciach okropnej wojny, głęboko wpatrzeni w przeszłość. Szli bezdrzewnym gościńcem pod mocnym wiosennym słońcem ku osadzie Oksywskie Piaski. Szli z trudem, długo, ociekając potem — lecz dobrnęli wreszcie do celu.

Ale na miejscu okazało się, że Franceszk mieszka teraz ze swoją białką w zupełnie innej stronie, na górze Kamiennicy, w domu szwaba Hermana, który z całą swoją familią zdążył zwiać do Bawarii.

— Na górze Kamiennicy? W domu szwaba Hermana, niedoszłego teścia nieboszczyka Marcina? I z białką? Z jaką białką, na miłość boską, jeżeli jego białka zginęła, powiadają, już w pierwszym roku wojny?

— Ano z tą nową białką. Z tą tłustą Anulinką. Anulinką, córką młynarza, której chłop padł gdzieś pod Stalingradem.

A więc Franceszk doczekał się. Trzydzieści lat czekał na swoje dziewczę, bardziej do anioła choinkowego podobne niż do dziewczęcia — no i doczekał się. A Stąca, a Jonk, a ten rudzielec Bernat? A Alfonsek i tylu innych, których imion, choć to jego synowie, sam Franceszk nie pamiętał? Ano Stąca, Bernat i Jonk nie powrócili dotychczas z lagrów. Alfonsek i Jignoszek zawieruszyli się gdzieś w świecie. Da Bóg, że się kiedyś odnajdą, jeżeli nie zginęli — Alfonsek w marinach, a Jignoszek w infanterii.

Oto i Kamiennica. Nagie, prawie niezalesione wzgórze, tarasami opadające w morze. Z jednej strony Gdynia rozpościera się u jej stóp, z drugiej — redłowskie lasy. Masztowe sosny w słońcu — jak miedziane odlewy. Na stromych zboczach — piramidy ziemne, samotne jak nagrobne pomniki. Kamiennicę z dala poznasz po wielkim krzyżu, umieszczonym na samym szczycie. Cień jego kładzie się na wyludnione, na pół umarłe miasto — jakby je błogosławiąc. Ze szczytu piękny widok na morze i kackie wzgórza porosłe bujnym lasem.

Pnąc się w górę, Weronika wciąż oglądała się poza siebie, chociaż tobół na plecach wadził. Jeszcze raz, jeszcze raz spojrzeć tam, w dół, na morze. Kipiel malowana zielenią, fioletem, ochrą; środek — wypukły, łączący się z horyzontem, skrzy się srebrem i seledynem. Mierzeja wrzyna się w wodę jak ostrze szerokiego sztyletu. Obłe wzgórza krwawe jak zachodzące wieczornym mrokiem niebo. Na najwyższym pagórku capierzy się karzeł-sosna, garbata i rosochata, capierzy się czarną fantastyczną koroną na tle czerwonej łuny, obejmując swymi mackami całe zachodnie niebo.

— Jeszcze się mama napatrzy — śmiała się z Weroniki Petra. — Jeszcze morze się mamie sprzykrzy, jeszcze powiesz, mam go już dość...

— Mnie tam nie sprzykrzy się morze nigdy — wtrącił się do rozmowy Marcin.

— Mam wrażenie, że tutaj zostaniemy — odezwała się znowu Petra. — Tu jest niebrzydki domek — zwróciła uwagę na małą willę z bardzo spadzistym dachem i półokrągłą basztą dobudowaną w szczycie. — Nie wymaga nawet remontu, patrzcie! Brakuje mu tylko szyb.

Ale Weronika ani na chwilę nie chciała się zatrzymać. Spieszno jej było bardzo na molo tych Hermanów. Tam tylko mogą żyć, tam jedynie może być ich domostwo. Syn jej, nieboszczyk Marcin, pod domem tym wystawał; syn jej, sink nieszczęśliwy tyle razy na ten dom patrzał... Spojrzenia jego zawisały na oknach i balkonach, w których pojawiała się głowa Hermanówny. Tęsknota jego za niedostępną panną owiewała wszakże te ściany. Myśli jego krążyły ciągle wokół tego domostwa i dlatego to ono, tylko ono stanie się ich schronieniem.

A oto dom Hermanów. Dom nie dom — rudera, która całkiem zatraciła już swoją świetność, straszy pozrywanymi balkonami, dziurawym dachem, oknami bez szyb, a częściowo nawet bez futryn. Jednakowoż serce rudery bije. Widać przecie dym wznoszący się rudymi kłębami z na pół rozbitego komina.

Petra aż załamała ręce.

— Ależ to rumowisko! Na tej górze same przecież popioły. Zejdźmy niżej, ulokujmy się w domku z basztą, lato idzie, wytrzymamy bez szyb.

— Co tam z tym domkiem dla Kraśnioków? — uśmiechnęła się Weronika. — Właściciele przyjdą, wygonią, a Herman tu nie powróci, będziemy żyć w spokoju.

A potem, zapatrzona z góry w modro-zielone morze dodała cichutko, lecz stanowczo:

— Same, mówisz, popioły? To nic, córko, to nic. Niejedną jeszcze iskrę można będzie wygrzebać z tych popiołów.

Tak. To będzie ich dom.

Nina Rydzewska

ZOFIA ROSZKÓWNA

Nad przepaściami

Jedną z najbardziej niepokojących tajemnic katolicyzmu w Polsce jest fakt, że przy tak olbrzymiej liczebności katolików nie widać jego promieniującej, przetwarzającej życie społeczne siły. Tę przedziwną tajemnicę da się wytłumaczyć jedynie niezrozumieniem faktu, że dla człowieka prawdziwie religijnego religia musi być najważniejszą sprawą. Tymczasem u nas jest inaczej. Ktoś jest np. lekarzem i to jest dla niego sprawą najważniejszą. Jest przy tym małżonkiem, ojcem, uczonym i „także" religijnym — Inny ktoś jest przede wszystkim „żołnierzem" i „także religijnym". Chcąc być rzetelnie religijnym trzeba postawić religię na pierwszym planie. A skoro religia stanie się dominantą życia — to musi się ją realizować całkowicie. Nie można poprzestać na czysto zewnętrznym spełnianiu przepisów i obowiązków, bo z tego rodzi się dewocja, ale trzeba całe życie duchowe urobić według ducha miłości — bo miłość Boga i bliźniego jest istota religii. Miłość chrześcijańska, to nie tylko zryw uczucia, chwilowy kaprys, czy poryw serca lub namiętności, ale stały, wierny, duchowy akt woli zwróconej ku Dobru Najwyższemu. Sprawdzianem zaś miłości Boga jest według słów samego Chrystusa miłość bliźniego, która też nie jest tylko czysto naturalnym ukochaniem, czy sympatią, lecz jest umiłowaniem w każdym człowieku odbicia Boga. W okresie międzywojennym i powojennym w pewnym odłamie literatury powieściowej widać wyraźny zwrot ku religii katolickiej. Czy jednak przebija się w niej zrozumienie istoty chrześcijaństwa?

Warto pokusić się o rozejrzenie się w naszej literaturze ostatniej doby pod tym właśnie kątem widzenia.

Romantyzm był okresem idealistycznych wzlotów w literaturze polskiej. Mimo jednak żaru patriotycznego, poświęcenia i ofiary bliższy chrześcijańskiej nauki o miłości bliźniego był okres pozytywizmu. Autorzy pozytywizmu Prus, Orzeszkowa, Konopnicka stali się przede wszystkim szermierzami doli szarego małego człowieka.

Lecz na całej twórczości tego okresu zaciążyło mocno wyjaskrawienie czynników ekonomiczno - gospodarczych. Autorowie tej doby wierzą w to głęboko, że j e d y n i e na drodze poprawienia doli materialnej biednych i podniesienia poziomu oświaty dokonać się może postęp ludzkości. Podobne stanowisko zajmuje i Żeromski, którego twórczość wkracza już w okres międzywojenny. W walce z nędzą i krzywdą człowieka zabrakło Żeromskiemu krynicznego źródła religii. Nie potrafił wzbić się ponad sferę natury. Do ewangelicznej miłości bliźniego zbliżył się Kasprowicz. Miłość człowieka doprowadza go nawet do buntu przeciwko Bogu w „Hymnach". Lecz w końcowej fazie swojej twórczości współczucie dla człowieka przeradza się we franciszkańską miłość dla wszelkiego stworzenia, nie wyłączając ludzi szarych i maluczkich, prostych i ubogich. Chrystusowymi oczyma patrzy na nędzę człowieka zatopiony w kontemplacji Boga i piękna Staff. Jest to miłość głębokiej serdecznej życzliwości i wyrozumiałości. W okresie międzywojennym i powojennym wśród rozszarpywań gniazd ludzkiej nędzy zarysowują się coraz ostrzej stanowiska: jedno marksistowskie z mocną ekonomiczną podbudową, drugie chrześcijańskie, oparte o prymat ducha i ewangelię. Lecz ani po jednej, ani po drugiej stronie problem ten jeszcze nie został zupełnie jasno postawiony. U pisarzy o zdecydowanie katolickim obliczu jak Zofia Kossak, Hanna Malewska, tylko w próbach zbliżenie postaci świętych (św. Franciszek w „Bez Oręża i brat Hilary w „Kamienie wołać będą") niezawsze ukazana miłość jako najwyższa wartość, jako jedyna miara religijności. Jedynie Rostworowski w dramacie „Miłosierdzie" odziera z całą pasją swego gorącego charakteru oficjalną dobroczynność faryzejskiego zakłamania.

Może najgłębiej i najpiękniej piękno miłości chrześcijańskiej ukazał Jan Wiktor w „Tęczy nad sercem", do której jako motto mogłyby posłużyć słowa autora „Dobry czyn człowieka jest uśmiechem Boga". Zaś w „Orce na ugorze" w usta Malinowskiej wkłada Wiktor takie słowa „nienawiść, pomsta i krzywdy to nicość a wszystkim przebaczenie zrodzone z cierpienia i modlitwa spojrzeniem sięgająca Boga"... „Wszystko proch i marność, wszystko przejdzie i przeminie, ino tyle zostanie co drugiemu dobrego zrobie". A jednak franciszkanizm Wiktora wyrasta z wiary w przyrodzoną dobroć serca ludzkiego i ludzką naturę zwierząt. Publicystyka powojenna Wiktora świadczy o tym że jego stosunek do katolicyzmu był luźny. Niektóre utwory Morcinka, zwłaszcza „Po kamienistej drodze", przeniknięte są atmosferą chrześcijańskiej pogody, która się z miłości rodzi. Jest to jeszcze jednak miłość „naturaliter Christiana", ale nie pogłębiona. W odłamie literatury marksistowskiej lub z marksizmem sympatyzującej chodzi o protest przeciwko krzywdzie biednego człowieka. Jednym źródłem tej krzywdy jest bogactwo posiadających Ten akcent buntu jest tak silny, że czasem tłumi zupełnie miłość nawet do tych najbiedniejszych. Straszliwa w swej dokumentalności jest trylogia Górskiej. „Ślepe tory". „Ucieczki" i „Barak płonie". Górska jednak podobnie jak Żeromski w „Ludziach bezdomnych" nie znajduje wyjścia. Jej społecznicy załamują się przygnieceni bezmiarem nędzy i swą własną bezradnością. Tak ich bezradność płynie z przypisywania człowiekowi „omnipotencji" i z zapoznania faktu, że źródłem nędzy jest także i zło skażonej ludzkiej natury. W gruncie rzeczy nędza jest takim samym misterium, jak misterium iniquitatis, tajemnica bólu i zła ma wspólne korzenie.

Każdy człowiek ma inną drogę — swój własny ideał do realizowania i każdy w trudzie mozolnym odnaleźć musi miarę właściwą. Biegnie ona zawsze na jakiejś straszliwej stromiźmie — samą krawędzią między dwoma przepaściami — po jednej stronie przepaść faryzeizmu, sytego, burżujskiego serca, który ochłapem miłosierdzia świeci w oczy społeczeństwu — a po drugiej stronie przepaść niespokojnego szaleństwa, które sen z oczu spędza, żyć nie daje zabija rozpaczą i bezradnością. Samą krawędzią między tymi przepaściami biegnie droga ofiarnej lecz i roztropnej miłości, zahartowana osobistą ascezą, normującą własne kaprysy, zachcianki, pożądliwość oczu i gorączkę złota, droga opromieniona ufnością i wiarą we wszechmoc i wszechdobroć Stwórcy.

Wąską krawędzią nad przepaściami biegnie droga religijnego życia. Na takie zawrotne szlaki wyprowadza czytelnika książka Kudlińskiego pt. „Świętokradca". Taka sama tu atmosfera jak w górach; upaja czystość powietrza, olśniewają szerokie horyzonty, przepaście i czeluście duszy ludzkiej budzą przestrach, o zawrót głowy przyprawiają.

Pokusił się Kudliński o powieść o człowieku świętym, współczesnym, wyrastającym z naszych warunków, z naszego życia. Uczynił to bez pobożnego patosu kiepskich żywotów świętych, które wytwarzają tylko dystans obcości i odpychają utopijnością świętości; napisał książkę o Bracie Albercie, o tym „najpiękniejszym człowieku naszego pokolenia", jak go nazwał Nowaczyński.

Nazywa się w powieści Brat Albert Adamem Tyczyńskim. Każe mu autor żyć w naszych czasach, przeżywać wojnę, stracić w walce nogę, pracować w konspiracji, kochać się, siedzieć w więzieniu. Poza tym wszystkie inne zdarzenia w życiu Tyczyńskiego są wierną kopią życia Adama Chmielowskiego. Odnosi się wrażenie, że autor świadomie ze skrzętnością i sumiennością biografa nie chce nic opuścić ze zdarzeń w życiu swego bohatera, że zazdrośnie strzeże przed samym sobą jego autentyzmu, usiłuje z gorliwością realistycznego portrecisty dać możliwie najbardziej obiektywny obraz świętego człowieka". Wydaje mi się wbrew temu, co dotychczas o tej książce powiedziano (Zofia Starowieyska-Morstinowa: „Święty czy marnotrawny" Tyg. Powsz. Nr 148 i recenzja tej samej autorki w Przegl. Powsz. Nr 2), że autentyczność postaci Adama Tyczyńskiego nie wprowadza jednak rozdźwięku, lecz ratuje jedność koncepcji i siłę wymowy świętości. Może taki kopiujący sposób traktowania bohatera powieści nie idzie po linii utartych zwyczajów artystycznych, spod których zresztą Kudliński chętnie się wyłamuje i w innych książkach, szukając z powodzeniem swoich własnych dróg, — lecz właśnie dzięki temu osiąga autor w tej książce niezwykły efekt ideologiczny. Nie czyni bowiem bohatera powieści powiernikiem swych myśli i przekonań, nie wkłada mu w usta swych doznań i przeżyć, lecz sprzecza się z nim i targuje i na pewno z trudem pojmuje, gdyż szczyty świętości zawsze są trudne do pojęcia. Do ostatka, do chwili agonii Adama, a raczej już brata Emanuela, trwają te „serdeczne zwady" autora ze Świętym, do ostatka artysta-Kudliński nie może pogodzić się z tym, by artysta-Tyczyński „zakopał swój talent", nie może się wyzbyć żalu, że Adam nie chciał „modlić się pędzlem". Dlatego właśnie nazywa Adama „świętokradcą", że przyspieszył sobie królestwo niebieskie, że droga malarza artysty wydała mu się za długa. Lecz brat Emanuel (takie bowiem imię obrał sobie Tyczyński) umiera w zgodzie ze sobą. Stacza już w śmiertelnej agonii ostatnią walkę ze sobą; w gorączce śmiertelnej upersonifikowane kolory tęczy, symbolizujące sztukę czynią mu wyrzuty, że się sztuki wyrzekł. To są jego ostatnie wątpliwości; czy minął prawo wyrzec się tej kolorowej tęczy sztuki, którą przecież „od urodzenia nosił pod sercem", czy nie lepiej było „chwalić Boga trudem wyboru, rozróżnianiem wśród niepewności, skoro przecież nie był prostakiem"? A jednak odpowiedź ostateczna na te wątpliwości i wahania jest jasna: „Piękno ziemskie jest jak róży krzak nad gniazdem żmij" i trudno różę od żmij oddzielić. Lepiej było pamiętać o tym, że „cokolwiek uczyniliście jednemu z tych braci najmniejszych, mnieście uczynili." Obok iskry talentu miał w sobie inną ważniejszą i tej nie zmarnował. Ostatnie słowa Emanuela: „Wiem wszystko. Dziękuję Bogu. Skończyłem", świadczą o tym, że i te ostatnie wątpliwości — pokusy zostały zwyciężone. Umarł z najgłębszym przekonaniem, że życie jego poszło właściwą, najlepszą drogą.

I tu autor milknie — może nie dość przekonany, ale dostatecznie pokorny, by ukorzyć się przed heroizmem świętości. Jedynie tytuł „Świętokradca" nie wzięty w cudzysłów, świadczy o buncie serca artysty, który przeboleć nie może, że „umarł" jeszcze za życia Adam Tyczyński, by zrobić miejsce biedaczynie Emanuelowi.

Nie podlega więc wątpliwości, że w tej książce tkwi jakieś głębokie rozdarcie, jakaś krwawa, bolesna rysa. Nie jest ona jednak wynikiem potknięcia się artystycznego, czy nieprzemyślenia problematyki. Jest raczej wstrząsającą i doskonałą w wierności psychologicznej spowiedzią „dziecka wieku". Kudliński sięgnął tą książką w głąb najistotniejszych bolączek dzisiejszości i stawia dwa wielkie zagadnienia przed oczy dzisiejszemu człowiekowi, wyrwawszy je wpierw z jego serca: problem nędzy społecznej i problem postawienia sztuki na drodze do Boga, powiązania jej z religijnym metafizycznym sensem życia. I właśnie dzięki tym zagadnieniom książka ta wypełnia dotkliwą lukę w literaturze współczesnej.

Ukazuje więc Kudliński w żywym, bliskim psychologicznie obrazie realizację najwyższego chrześcijańskiego przykazania o miłości bliźniego. Odbiega daleko od wygrażania burżujom i od samodręczycielskiego, rozpaczliwego rozdrapywania nędzy ludzkiej, jak to czyni Górska, czy nawet ulegający sugestii „Ludzi bezdomnych", czy „Ślepych torów" Dobraczyński w „Strasznym domu" i wyprowadza nas razem z bratem Emanuelem na ową ostrą krawędź nad przepaściami, na którą wdrapać się trzeba w takim mozolnym trudzie osobistej ascezy i przezwyciężenia siebie, jak to uczynił Adam Tyczyński i wtedy dopiero mógł powiedzieć: „Oświadczam się po stronie pokrzywdzonych, tu czuję się pewniejszy... Jeśliby istniał jeden tylko biedny na świecie, nie mam prawa żyć lepiej niż on". Może nie dla każdego taka droga, ale dla każdego taki żmudny trud.

Jednakże nie ta sprawa, choć tak mocno w życiu świętego człowieka uwypuklona — jest dla autora — już całkiem subiektywnie — najważniejsza! Tę najważniejszą sprawę dojrzy się wyraźniej patrząc na Świętokradcę w świetle innej książki Kudlińskiego pt. „Farbowane lisy". Ta „noc inteligentów nie zgniłych" — jak tę książkę nazwał Stefan Kisielewski (Tyg. Powsz. Nr 141), kryje jednak pod różowym naskórkiem błyskotliwego rozbawienia i przeintelektualizowanego rozdyskutowania cyganerii artystycznej może nie „zgniłego inteligenta", ale jakąś stańczykowską katastrofę duchowego rozbicia, chaosu, w którym zamazują się kontury hierarchii wartości, w którym wszystko jest jednako ważne: Bóg, sztuka, myśl, fizjologia, w którym nie ma żadnej porządkującej zasady, scalającej idei. I właśnie „Świętokradca niesie ratunek „nie zgniłym", lecz zagubionym w chaosie inteligentom, owym „farbowanym", nie rozróżniającym prawdy od fałszu i udania „lisom".

Z takiego właśnie środowiska cyganerii artystycznej wyrasta Tyczyński. Przejrzał dostatecznie i uczciwie ów chaos, pozbawiony metafizycznego pionu i z mocą wielkiego człowieka zerwał łańcuchy niewoli ducha. Odrzucił kolorową mozaikę czarownej sztuki, zbytku, luksusu, dosytu, by zaspokoić głód duszy najwyższy, głód samego Boga.

Postać brata Alberta dała niewątpliwie autorowi odpowiedź na dolegliwą tęsknotę za prostotą życia, która wiedzie na szczyty kontemplacji i daje szczęście i radość. Tą odpowiedzią Kudliński dzieli się z czytelnikiem. Adam Tyczyński wchodzi na drogę surowego ascetyzmu, abnegacji i wyrzeczenia.

Czy jednak ta odpowiedź brata Emanuela, którą Kudliński nakreślił z niepospolitym artyzmem, przekonywająco i sugestywnie, jest równoznaczna z ideałem do naśladowania?

Autor nie zdradza się z takim wnioskiem. Nie podkreślił w sylwetce swego bohatera tak uderzającego związku między duchowością brata Alberta a jego schizotymiczną strukturą i konstytucją fizyczną, na co zwraca uwagę ks. Konstanty Michalski w swej książce o bracie Albercie. I może wskutek tego w interpretacji Kudlińskiego zatraca się indywidualny charakter świętości „Świętokradcy", urastając do typu ogólnoludzkiego. Zyskuje na tym siła wyrazu, ale zatraca się sens wychowawczy, powiedzmy nawet jaskrawo— kaznodziejski, od którego rzadko który — na szczęście — autor jest wolny, a na który oczekuje zawsze „prosty" czytelnik.

Jeśli można snuć na tle czyjejś książki swoje własne dociekanie i poszukiwania rozwiązania probemów, to chciałoby się powiedzie, że brat Emanuel, choć porywa i zdumiewa, a nade wszystko budzi poryw ku Bogu i tęsknotę za lepszym, ofiarniejszym życiem, nie może być obiektywną miarą. Wszelkie takie nadludzkie, heroiczne miary dopasowywano przemocą do własnego życia są niebezpieczne i ryzykowne.

Autentyczny Adam Chmielowski wiedział o tym dobrze i nieraz odmawiał nawet swoim przyjacielom przyjęcia do swojej społeczności zakonnej. Odmówił

(Dokończenie na stronie 4)

Głosy o „Stalowych sercach"

Jan Brzoza

Film „Stalowe serca" uważam za jeszcze jedno duże osiągnięcie naszej kinematografii i gdyby istniała klasyfikacja, postawiłbym mu notę „bardzo dobry". Odnosi się to zarówno do techniki kinematograficznej, strony artystycznej jak ideowej. Obrazy są czyste, naturalne, bez żadnych chwytów zdjęciowych a przez to bardzo prawdziwe w wydobyciu ich dynamizmu z takiej niewdzięcznej tematyki krajobrazowej, jaka jest na Śląsku. Strona artystyczna filmu polegała moim zdaniem na nie nowej wprawdzie, ale bardzo trudnej do zrealizowania metodzie wydobycia treści z samych obrazów. Obrazy płynące jeden za drugim tworzą zwartą całość, nie potrzebującą wielu dialogów ani komentarzy dla zrozumienia filmu. Z ich biegu tworzy się treść a zatem idealne dopełnienie formy prawdziwego filmu. Od strony ideowej film pokazał szlachetny ładunek propagandowy i to wcale nie umniejsza jego wartości, gdyż prawdziwy film powinien być propagandowy, byle propaganda była podana dyskretnie i z umiarem.

Jeszcze jednym dużym walorem jest tu niesłychana prostota w wydobyciu wszystkich trzech wymienionych elementów tego filmu. Nie ma tu żadnej przesady w traktowaniu bohaterstwa górników i hutników w doskonałej grze aktorów, nie ma owej łezki sentymentalnej, tak nieraz psującej wartość polskiego filmu przedwojennego, nie ma wielkich słów ani deklamacji, i wszystko jest tu dlatego bardzo piękne. Prostymi środkami, przy prostej metodzie wykonania stworzył się jeszcze jeden dobry polski film. Może dlatego, że jestem zwolennikiem prostoty w sprawach artystycznych, tak mi się ten film podobał i nie mogłem znaleźć w nim żadnych usterek.

Bogdan Butryńczuk

Jeżeli dwoma zasadniczymi elementami obrazu filmowego są: scenariusz i reżyseria, i jeśli oba te elementy zawodzą, wówczas można „bez obrazy" powiedzieć, że film jest zły. Wydaje mi się, że taki właśnie wypadek zachodzi w „Stalowych sercach". Wady reżyserii uwidacznia nie tylko kompozycja filmu, przeciążona krajobrazem „Czarnego Śląska", lecz także teatralna, upozowana gra aktorów. A scenariusz? Wystarczy porównać bardzo bliski tematycznie, o g l ą d a n y niedawno film francuski „Walka o szyny", aby uchwycić różnicę jakości, a tym samym określić poziom „Stalowych serc".

W produkcji krajowej (bo tylko w takim układzie może wytrzymać jakąkolwiek krytykę) postawiłbym ten obraz o szczebel wyżej od „Jasnych łanów" i kilka stopni niżej „Ostatniego etapu".

Zdzisław Hierowski

Z filmem „Stalowe serca" miałem sposobność zetknąć się już w okresie pracy nad scenariuszem. Od razu uderzyła mnie w nim banalna filmowa sztampa i nie liczenie się z materiałem realnych faktów. Film zrobiony jest z zastosowaniem najbardziej utartych i zużytych konwencjonalnych środków, według standardowego przepisu na obrazy okupacyjno-patriotyczne. Daleki jest od obrazu rzeczywistości okupacyjnej na Śląsku, powiedziałbym nawet, że wyprany jest z kolorytu lokalnego poza pewną ilością szczegółów zewnętrznych mniejszej wagi. Punkt ciężkości obrazu został fałszywie przesunięty na wielki sabotaż, którego w zakładach pracy na Śląsku nie było, miejsce którego zajmował sabotaż raczej mniejszego kalibru i taktyka upartego przetrwania. Momentem bohaterstwa była obrona śląskich zakładów pracy przed zniszczeniem w czasie wycofywania się okupanta i tę powinien był film pokazać.

To byłyby zastrzeżenia od strony treści, a więc od strony scenariusza. Możnaby uzupełnić je jeszcze zastrzeżeniami co do wielu poszczególnych scen i realiów. O stronie realizacyjnej filmu wypowiedzą się ludzie bardziej kompetentni. Mnie uderzyła jej wielka przeciętność poza kilkoma doskonałymi momentami aktorskimi i reżyserskimi.

Wilhelm Szewczyk

Technicznie, prócz ładnych zdjęć, film nie zachwycił. Ale nie to jest najważniejsze. Najważniejsza jest treść. Wydaje mi się, że zanadto zaufano scenariuszowi, który nie umiał oddać atmosfery śląskiej kopalni czy huty w okresie okupacji. Cóż z tego, że tendencja filmu szlachetna, skoro nieprawdziwa i nieprawdziwość tę dostrzeże każdy widz, który okres ten przeżywał na Śląsku. Kierownictwo literackie Gustawa Morcinka niewiele tu mogło pomóc, skoro ten ceniony pisarz całą okupację przeżył w obozie daleko poza Śląskiem. Ta konspiracja śląska pokazana jest zbyt optymistycznie, zdrajców policzyć można na palcach, terror w hucie reprezentowany przez kilku Niemców, mówiących nie wiadomo dlaczego najczystszą polszczyzną, nie budzi grozy, Polacy pozdrawiają się tu prowokacyjnie zdejmowaniem kapelusza, choć prawdopodobnie są zapisani na „volkslistę", bo tak na Śląsku było. Wiemy, że prawdziwi Polacy na Śląsku zmuszeni byli udawać gorliwszych Niemców niż Niemcy rzeczywiści. Tego rodzaju maskowanie się, ukrywanie się pod hitlerowskim mundurem stanowiło niejednokrotnie siłę konspiracji śląskiej. Rażą liczne fałszywe podane realia, jak choćby ta historia z odznaką partyjną, która jest tymczasem zwykłym znaczkiem Arbeitsfrontu, jak Gustlikowa, pracująca w odświętnym niemal narodowym śląskim stroju, w jakim chyba chodziła do kościoła. Rażą dialogi, oszczędne co prawda, ale językowo nierówne (ni to gwara, ni to język literacki), pełne patosu. Razi gra niektórych artystów, w pierwszym rzędzie martwa, maskowa twarz młodej siostry i drewniany jej gest.

Druga część filmu żywsza i budząca zaufanie. Wprawdzie moment przełomu na kopalni mija zbyt cicho, nie pokazał się np. ani jeden żołnierz niemiecki, w ogóle na przestrzeni całego filmu nie istnieją żołnierze niemieccy, jest tylko Werkschutz. Nie wykorzystano (ale to chyba wina scenariusza) momentów formowania się „volkssturmu", do którego najczęściej pakowano z chwilą zbliżania się Rosjan najlepszych Polaków choć z legitymacją „volksdeutscha".

Pomimo zastrzeżenia film dobry, potrzebny. Kilka momentów wynagradza trud oglądania całości. Do momentów tych należy i pedantyczna ortografia SS-mana (Victorja) i sypiące się żużlowe bryły po strzałach skierowanych w pierś patriotów śląskich.

Aleksander Widera

Pochwały wyrażone Filmowi Polskiemu z okazji budzącego co prawda dość poważne zastrzeżenia, ale reprezentującego już jakąś klasę „Ostatniego etapu" okazały się przedwczesne. Bo oto „Stalowe serca" podważają w nas na nowo zaufanie, jakie Film Polski po niezłym, średniometrażowym „Nawróconym" i głośnym już dzisiaj nawet za granicą „Ostatnim etapie" zaledwie zaczynał zdobywać. Co prawda, stara to zasada, że po jednym dobrym następuje mniej lub więcej filmów słabszych, że nie na więcej filmów dobrych przypada jeden zły, ale na więcej złych jeden dobry (z zagranicy przychodzą do nas tylko wybrane, te najlepsze albo przynajmniej dobre), poza tym produkcja nasza jest ilościowo nikła (w czym tu wybierać!), wszystko to prawda, ale — niestety — chodzi o ogólny poziom, a ten u nas był i jest niski, „Stalowe serca" zaś są na tym samym poziomie. I to jest poważne zmartwienie. Zaledwie bowiem pochwaliliśmy brak dłużyzn w „Ostatnim etapie", a już ze smutkiem stwierdzamy kompletny brak tempa w „Stalowych sercach". (Jakże inaczej postąpili realizatorzy francuscy w problemowo pokrewnej „Bitwie o szyny"!) Zaledwie wyraziliśmy uznanie dla prawdziwości wizji Oświęcimia mimo pewnych zaniedbań i artystycznych deformacji rzeczywistości w filmie Wandy Jakubowskiej, a już konstatujemy kompletną nieznajomość spraw śląskich czasu okupacji w „Stalowych sercach". Zaledwie, zaledwie, zaledwie...

Niestety.

Stanisław Winczewski

Moim skromnym zdaniem film „Stalowe serca" można śmiało zaliczyć do udanych, dobrych filmów.

Realistyczne zdjęcia, b. ciekawe, doskonałe, dźwięk dobry, gra dobra. Mam małe zastrzeżenie co do zakończenia filmu. Uważam, że zostało osłabione przez wprowadzenie górniczej orkiestry i tłumów — wystarczyłoby wciągnięcie zwycięskiego, polskiego sztandaru na maszt przy jednoczesnym wprowadzeniu muzyki.

Walka Pawła z Niemcem za ciemna, można było ją bardziej wykorzystać, jako emocjonalny moment w filmie.

Ale to są drobiazgi w dobrej całości. Uważam „Ostatni etap" i „Stalowe serca" dużym krokiem naprzód w naszej rodzimej produkcji filmowej.

Szczęść Boże!

Edmund Osmańczyk, stały nasz współpracownik berliński, którego doskonały artykuł „Walka o niemiecką kulturę" zamieścimy w następnym numerze naszego pisma

Wśród czasopism

W dzisiejszej wędrówce po czasopismach ograniczę się do przechadzki po własnym podwórku.

Jest po temu okazja. Minęliśmy trzecią rocznicę narodzin samej myśli o „Odrze", w dniu 1 lipca, niemal w równo w trzecią rocznicę powstania pisma, „Odra" przejdzie na dobre w posiadanie duchowej stolicy Ziem Odzyskanych — pięknego i zniszczonego Wrocławia, który dobrze już sobie zasłużył na sentyment, który go otacza.

Gdyby to był rok 1945, urządzilibyśmy bankiet z bimbrem (zaczynaliśmy wbrew zwyczajowi — niestety — bez bankietu, jedliśmy w tym dniu normalny zupkowo-stołówkowy obiad i chyba nawet nie poszliśmy na wódkę). Na bankiecie tym Katowice by żegnały, a Wrocław by witał. Wyrazy żalu przeplatałyby się z wyrazami radości, słowa (przypuśćmy, ale byłoby to w dobrym tonie) podzięki z życzeniami na przyszłość. Ponieważ w r. 1948 na nic podobnego — znów niestety — się nie zanosi, pozostaje wygłoszenie mowy pożegnalnej od Katowic z tego oto skromnego i niewysokiego miejsca.

Już słyszę dowcipy, że „Odra" znalazłszy się nad środkowym biegiem swej imienniczki stanie się szersza i głębsza, oraz że najniespodziewaniej Wrocław zaczął chorować na odrę. Nic nie szkodzi. Te dowcipy mają prawo obywatelstwa od trzech lat i nawet Swinarski nic lepszego w tej niewdzięcznej dziedzinie nie wymyślił, jakkolwiek o jego żywych związkach ze Śląskiem świadczy sztuka pt. „Gra o Barbarę". Humoryści więc raczej na fakcie przenosin nie zarobią. Pozostają im więc nadal dowcipy dolarowe płatne niestety w złotych papierowych.

Nie wiem, czy wielu Czytelników pamięta, jakie biedne i nieporadne było to pismo w swoich enemicznych początkach. Może pamiętają niektórzy namiętni kolekcjonerzy zadrukowanego papieru, gdyż był to okres, kiedy dzięki normalnym mniej więcej rozmiarom można było „Odrę" jeszcze kolekcjonować i czytanie jej nie wymagało obszerniejszego mieszkania.

Więc jak się rzekło, biedne i nieporadne było to pismo. Wychodziło początkowo (zaczęło się 20. lipca 1945) jako dwutygodnik a i tak z materiałem był kłopot. Zewsząd dopływał materiał wyłącznie górnośląski, łączność z innymi terenami na zachodzie i północy niemal nie istniała, poza tym nie było tam jeszcze niemal na lekarstwo ludzi pióra. Szeroko pojęta problematyka Ziem Odzyskanych dopiero się kształtowała i narastała. Pismu zaczynał grozić regionalny uwiąd. Mieliśmy w takim więdnięciu sporo wprawy sprzed wojny. Ale jakoś przetrzymało się kryzys. W pierwszych miesiącach roku 1946 pismo zaczęło coraz śmielej wypływać na szersze wody zagadnień zachodnich. Działo się to w miarę, jak kształtowało się jego oblicze i zarysowywały się coraz wyraźniej jego cele jako pisma społeczno-kulturalnego wszystkich ziem odzyskanych, jako pisma zarazem rejestrującego i komentującego wszystko, co zaszło ważnego w powojennych Niemczech. Stopniowo zgłały swój akces Szczecin, Olsztyn, Wrocław stopniowo pismo, przekształcone już na tygodnik, zaczęło coraz pełniej i wierniej odzwierciedlać polską rzeczywistość na odzyskanych terenach. Jedną z zasadniczych jego pozycji w tym czasie było uparte użeranie się o właściwe miejsce wśród innych zagadnień dla problematyki kulturalnej tych ziem. Przełknęło się przy tym nie jedną gorzką pigułkę (nie szczędząc ich zresztą innym) i nie jedną cichą pociechą podsycaną nadzieją.

Co to był za kłopot, by wyrwać skądś dobry reportaż z zachodu. O wierszu albo prozie marzyło się tylko skrycie. Ileż to redaktor naczelny naobiecywał fantastycznych wierszówek, płacąc potem naiwnym z zasady połowę a w wypadkach szczególnej wagi jedną trzecią. Ale jakoś i te kłopoty minęły i dzisiaj dałoby się z materiału trzech roczników „Odry" złożyć ładną już antologię literacką na tematy Ziem Odzyskanych.

Wiem, Szanowni Słuchacze, że przy tak uroczystej okazji nie zdobędziecie się na nietakt powiedzenia pismu kilku słów prawdy w oczy. Ale wiem, że chcielibyście powiedzieć, że pismo było nudnawe, że entuzjazmowało tylko „odzyskańczych" zapaleńców, których redakcja mimo usilnych starań zrazić sobie nie mogła i których na szczęście dla losów pisma nie brakło.

Wiem, że podzielone będą Wasze zdania, co do tego, jakie było tzw. oblicze pisma. Podział ten wynika z tego, że dla jednych było ono za mało katolickie, dla drugich stanowczo za dużo, że nie spełniło nadziei jednych na sprytną opozycję, a nadziei innych na ujrzenie go w roli trochę tylko szlachetniejszej w tonie trąby propagandowej.

Wem, że wielu z Was krzywiło się i krzywi na skąpość materiału literackiego przy nadmiarze publicystyki aktualnej i historycznej.

Wiem, że są wśród Was tacy, którzy za ciężki nasz grzech skłonni byli uznać brak kącika krzyżówek i szarad.

Ponieważ tych zarzutów nikt mimo wszystko nie podniósł, nie będę z nimi polemizował. Jestem przekonany, że ostatni z nich można na pewno zwycięsko odeprzeć, a z poprzednich można się bez trudności wykręcić. Ponieważ jednak wytrwałym Czytelnikom też się coś należy, mogę złożyć uroczyste zapewnienie: będzie lepiej! Od Wrocławia będzie lepiej! Tylko z krzyżówkami będzie źle, bo jedyny członek redakcji kształcący się od wielu lat na prowadzenie tego działu pozostaje w Katowicach. Ale trudno, Katowic też nie można ze wszystkich zdobyczy kulturalnych ogołacać. (ki)

Przegląd kulturalny Szczecina

Dzisiejszy Teatr Polski w Szczecinie nazywał się w pierwszym roku swego istnienia „Komedią Muzyczną". Okres ów nie był chlubną kartą teatralną Szczecina. Teatr dyrektora Czosnowskiego przyjechał ze Lwowa do Szczecina jako tzw. *teatr lekkich form*, w Szczecinie zaś przeobrazić się musiał na teatr poważny. To było główne źródło nieporozumień między teatrem a publicznością. W nowym jednak, drugim sezonie nastąpiła poważna poprawa. Teatr zaczął start dobrym repertuarem, zwiększył niemal trzykrotnie frekwencję teatralną, otrzymał kierownika literackiego oraz niezłego dekoratora. Droga od rewii do „Dwóch teatrów", „Rozdroża miłości", „Ożenku" i „Moralności pani Dulskiej", wskazywała na wyraźny postęp. Od stycznia br. jednak nastąpiło dziwne załamanie. Repertuar zaczął przypominać zmarłą niesławnie „Komedię Muzyczną", frekwencja na widowni zmalała, a kierownik literacki, niewiele zresztą zrobiwszy dla teatru, wycofał się.

Przyczyny tego stanu rzeczy są wielorakie. Jedną z głównych jest naturalnie minimalna pomoc materialna „czynników oficjalnych". Teatr znalazł się w impasie, z którego wyratować go może tylko ambitny wysiłek dyrekcji i poważna pomoc materialna. Będzie to praca, a raczej współpraca ciężka, gdyż Teatr Polski, po ostatniej reorganizacji teatrów w Polsce *nie został upaństwowiony* w przeciwieństwie np. do teatru 35.000-nego Olsztyna. Jest to wielki cios dla teatru szczecińskiego, który mógłby w pełni rozwinąć swoją działalność dopiero wówczas, gdyby go uwolniono z rozlicznych kłopotów materialnych. Na pociechę trzeba jednak dodać, że zwiększona od kwietnia br. subwencja Ministerstwa z 50 do 300 tysięcy pozwoli może w najbliższej przyszłości wejść na nowe, niewydeptane jeszcze ścieżki teatralne. Teatr musi się zdobyć na nowy repertuar, w którym znajdą się i nowe *prapremiery* i nie ukazane dotąd w ciągu dwóch lat, sztuki Mickiewicza, Słowackiego czy Wyspiańskiego. Musi *się też znaleźć stały reżyser i zwięk szony zespół*, który by mógł obsłużyć także prowincję, tym bardziej, *że drugi teatr szczeciński tzw. „Teatr Mały" zakończył oficjalnie swoje istnienie*, choć od czasu do czasu wyskakuje nieoczekiwanie z jakąś sztuką. Stworzenie teatru objazdowego da się rozwiązać, a raczej do pewnego stopnia zostało już rozwiązane dzięki temu, że Teatr Polski uruchomił 2 marca tzw. *„Małą Scenę"*. Daje to możliwość staranniejszego przygotowania sztuki i wyjazdu w teren bez uszczerbku dla przedstawień granych na „dużej scenie". Zespół Teatru Polskiego został nieco powiększony, szczególnie po zaangażowaniu *M. Malickiej i Nuny Szczurkiewiczowej*. Z ostatnich przedstawień tylko *„Przyjaciel przyjdzie wieczorem"* Companeza i Noego, *„Droga do źródeł"* Perkitnego, przede wszystkim zaś *„Mąż i żona"* Fredry i dwie jednoaktówki *„Ladacznica z zasadami"* i *„Przy drzwiach zamkniętych"* wskazują, że Teatr Polski nie zatracił całkowicie ambicji repertuarowych. 140-tysięczny Szczecin wymaga jednak zdecydowanej zmiany oblicza teatralnego, porzucenia utartych ścieżek spod znaku *„farsy i forsy"* i wejścia na nowe ścieżki. Na tych niewydeptanych ścieżkach pracuje się może trudniej, ale zaszczytniej.

CZY SZCZECINOWI POTRZEBNY JEST ODDZIAŁ ZWIĄZKU ZAWODOWEGO LITERATÓW?

W Szczecinie mieszka siedmiu zrzeszonych literatów: *M. Bonecka, Fr. Gil, W. Lachnitt, Tym. Karpowicz, J. Papuga, St. Telega i W. Wirpsza*. W przeważającej jednak większości są to kandydaci. Nawet więc po wliczeniu Gałczyńskiego i Andrzejewskiego, których osiedlenie się w Szczecinie jest sprawą, zdaje się pewną, *nie ma na razie podstaw prawnych na stworzenie Oddziału Zw. Z. L. P. w Szczecinie*. Osobiście wydaje mi się, że nawet w wypadku powstania tych podstaw tworzenie „na siłę" Oddziału, mającego nie tylko reprezentować, ale aktywnie pracować, byłoby do pewnego stopnia fikcją. Oddział taki, jeśliby miał spełnić swoje znaczenie, musiałby mieć większą ilość literatów, przedstawiających poważniejszy dorobek literacki, a w szczecińskim wypadku, wyłączając Gałczyńskiego i Andrzejewskiego, jest to na razie pobożnym życzeniem każdego z piszących. Poza tym Oddział taki musiałby się wykazać pracą w sensie szeroko zakrojonej działalności kulturalno-literackiej. Z dotychczasowego zaś doświadczenia wynika aż nadto wyraźnie, że duża część szczecińskich literatów *raczej uchyla się od takiej pracy*. Dowodem tego jest godna pożałowania absencja większości literatów w istniejącym od dwóch lat Klubie Literackim, w TURZE, w Radzie Kulturalnej O. K. Z. Z. czy nawet brak współpracy z Radiem Szczecińskim. W takich warunkach praca kulturalna spada na nieliczną garstkę tych, którzy wciąż jeszcze chętnie zdzierają pióro i czas, z uszczerbkiem dla właściwej pracy literackiej, aby nie pozostawić luzem pewnych zagadnień kulturalnych. Natomiast reszta literatów, to gromadka „aktywizatorów kultury" zza biurka „zaganiających" chętnie innych do pracy. W tym stanie rzeczy uruchomienie Oddziału byłoby tworzeniem szumnej fikcji, za którą kryłaby się bezradność wobec praktycznych zadań kulturalnych. Chwila, w której utworzenie takiego Oddziału stanie się koniecznością, niewątpliwie przyjdzie. Ale nim się to dziecko urodzi, chrońmy je przed przedwczesnym poronieniem.

WIECZÓR AUTORÓW SZCZECIŃSKICH

Rok temu tzw. „Wieczory autorskie" były w Szczecinie rzadkością. Między rozwijającym się tu powoli życiem kulturalnym a resztą Polski istniała jeszcze linia podziału, zamykająca Szczecin w pewnego rodzaju partykularzu. Wydarzenia kulturalne, którymi żyła reszta Polski znajdowały tu słaby jeszcze refleks. Szczecin jednak jest miastem ekspansywnym, proces rozwoju dokonuje się stale na każdym odcinku życia. Wkrótce też linia podziału zaczęła się zacierać a linia współbrzmienia przynosiła coraz to nowe etapy wznoszenia się poziomu kulturalnego. Obserwować to można właśnie na odcinku wspomnianych wieczorów literackich Szczecina. Od grudnia ub. r. stały się one zjawiskiem powszechnym. Publiczność nasza miała możność usłyszenia od owego czasu — Gałczyńskiego, Koźniewskiego, Broniewskiego, Gołubiewa, Rusinka, Andrzejewskiego Morcinka, Jędrkiewicza, Kurka i Szewczyka. Akcję Klubu Literackiego poparł mocno „Czytelnik", ostatnio zaś szczeciński TUR, zapraszając na odczbyty profesorów Politechniki Gdańskiej. Wreszcie z inicjatywy Klubu Literackiego wystąpili po raz pierwszy autorzy szczecińscy na wspólnym wieczorze — *M. Boniecka, Jul. Borzym, W. Lachntt, Tym. Karpowicz, Jan Papuga, Stan. Telega* i *W. Wirpsza*. Z siedmiu autorów dwóch reprezentowało poezje (Karpowicz, Wirpsza), jeden dramat (Borzym), jeden krytykę literacką (Telega), reszta prozę. Jeśli chodzi o poezję, wyróżnił się świetną formą i społeczną treścią młody poeta, Tym. Karpowicz. Natomiast wiersze Wirpszy są jakimś nieporozumieniem. Autor ma raczej skłonność do dobrej prozy, pisze zaś wiersze z powodu nieuzasadnionej ambicji. Na uwagę zasługiwał nowy autor szczeciński, „odkryty" przez Klub Literacki, Jul. Borzym. Jest to pisarz zapowiadający się dobrze jako dramaturg, o czym świadczą dwa jego dramaty, zakwalifikowane przez Komisję Repertuarową Departamentu Teatru. Podobno Teatr Polski w Szczecinie ma wystawić jeden z tych dramatów jeszcze w tym sezonie. M. Boniecka przedstawia jako prozaiczka tradycyjny sposób tworzenia, nie umie przy tym budować zwarcie swoich powieści. Jan Papuga reprezentuje w dalszym ciągu marynistykę, nie wykazując na ogół większego postępu od czasu „Szczurów morskich". Próba powieściowa Lachnitta, jakkolwiek bardzo ambitna w założeniu, wskazywała wyraźnie, że domeną pisarską tego autora jest raczej krytyka i publicystyka, a nie powieść.

Wieczór autorów szczecińskich wywołał duże zainteresowanie — wśród publiczności. To pierwsze wspólne wystąpienie, jeszcze niezbyt zwartej grupy, ujawniło jednak wyraźne profile artystyczne oraz ambicję związania swej twórczości z regionem szczecińskim. Jest rzeczą konieczną zasilenie tej szczupłej jeszcze gromadki nowymi literatami z Polski Centralnej, którzy znaleźć tu mogą wdzięczne pole pracy oraz niezwykle godną i ciekawą tematykę.

Stanisław Telega

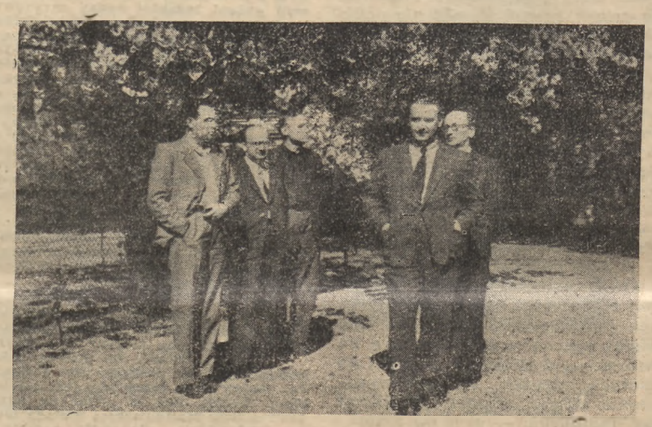

Wśród szczecińskich autorów. Pierwszy od lewej Walerian Lachnitt, autor zbioru essayów i opowiadań historycznych „Pod znakiem Gryfa", trzeci od lewej Tymoteusz Karpowicz, doskonale zapowiadający się młody poeta szczeciński, autor „Legend pomorskich", dalej Stanisław Telega, krytyk i powieściopisarz, redaktor szczeciński „Odry" oraz red. Jordan, naczelny redaktor tygodnika morskiego „Szczecin". W jednym z najbliższych numerów zamieścimy krótkie wywiady z pisarzami szczecińskimi na temat ich nowych prac literackich

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Martynowa 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, 3 Maja 12. Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik", Katowice, ul. Młyńska 9. Tel. 31059.

R 18120

Krótkie spięcia

Uwaga, nadchodzi!

Sprawa złośliwych nowotworów językowych, którą niedawno poruszano na tym miejscu, jest ciągle aktualna, jako że niestety te nowotwory rodzą się coraz częściej i przybierają charakter niejako już epidemiczny.

Wśród powodzi owych neologizmów od siedmiu boleści wypada poświęcić jednak specjalną uwagę jednemu fantastycznemu wprost wyrażonku, które powstało ostatnio w pewnych urzędowych kołach rolniczych.

Mianowicie niedawno w Warszawie jeden z wysokich dygnitarzy rolniczych wyraził się na zwołanej u siebie konferencji prasowej, jak następuje:

„Kilka województw jest już dostatecznie u k o n i o n y c h, natomiast szereg innych jest jeszcze n i e d o k o n i o n y c h..."

Ipsissima verba!

A więc, gdy województwo, czy powiat posiada dostateczną ilość koni, to województwo to czy ten powiat są „ukonione". A jak tych koni jest tam mało, to wówczas województwo i powiat są „niedokonione".

Ślicznie.

Po prostu jak człowiek słyszy, że coś jest ukonione, czy niedokonione, od razu przemienia się w Tuhaj-Beja i zgrzytając zębami syczy: „Hej kęsin, kęsin...!" Przecież to można z takiego ukonienia dostać padaczki i tańca Świętego Wita, nie mówiąc już o białej gorączce i delirium „trymajte mene"...!

Ale to jeszcze nic! Bo niby ukonienie ukonieniem, ale z jakiej racji ma być powiat czy nie powiat tylko ukoniony? A ukrowiony, jeśli łaska, nie może być? A ukurzony? A uindyczony, a ugęsiony, a uświniony...? A ucielęcony, ha...?

Poza tym powiat może być jeszcze na przykład utraktorowany, umłockarniony, ulokomobilowiony, no i dajmy na to — ucepiony.

I tak dalej, dalej i dalej.

Proszę się nie śmiać! Niebezpieczeństwo jest bardzo bliskie. Nie należy bowiem zapominać, że jeśli neologizm o ukonieniu wprowadza do naszego języka wyższy dygnitarz, to ten neologizm posiada wszelkie szanse przyjęcia się. Albowiem podwładni, aby przypodobać się swemu szefowi, szybko zaczną ukonienie czy ukrowienie stosować. Maluczko więc, a doczekamy się cudnych okólników, w których będzie „stało" jak byk np. tak:

„W województwie naszym przeważają gospodarstwa niedokonione, ale za to już przekrowione. Duża ilość jest też niedokróliczona, aczkolwiek z uświnieniem majątków państwowych jest coraz lepiej. Traktorzenie postępuje żwawo naprzód. Należy więc teraz dążyć do zmniejszenia przesierpienia a zwiększenia ukieracenia. W tym celu zarządzam: Ukozienie, rozperliczenie, niedojałowiczenie oraz przekurczętowanie wszystkich powiatów, które prócz tego mają zostać jeszcze bardziej upowiacone."

Et caetera bomba.

Boże, Boże — zmiłuj się nad nami! *Niejaki X.*

Nad przepaściami

(Dokończenie ze strony 3)

Rostworowskiemu, odmówił Nowaczyńskiemu, bo intuicją świętego wyczuwał, że to nie ich droga. Sam zaś może właśnie z racji swej struktury psychofizycznej poszedł po linii miłości ekstatycznej, spalającej się w samozaparciu i wyniszczeniu. Bardziej to może droga odpowiadająca zapalnej duszy polskiej, bardziej uderzająca w struny serca. Dlatego też pewnie i Adam Tyczyński zdecydowanie odrzucił drogę dociekań spekulatywnych i zawierzył sercu.

Jest jednak i druga droga, wywodząca się od św. Tomasza z Akwinu, bardziej zwarta i konsekwentna, która patronuje dzisiejszym dążnościom stworzenia chrześcijańskiego humanizmu, droga afirmacji wszelkiego dobra, wprzęgnięcia wszystkich energii w służbę Bogu. Tę drogę Adam Tyczyński odrzucił, bo tak mu kazał jego głos wewnętrzny. Odrzucił miłość pięknej Heleny (Modrzejewskiej), odrzucił sztukę, odrzucił wszystko, by odnaleźć Boga w ubogich opuchlakach. Można jednak i inaczej, ale zawsze tak, by zgodnie z wewnętrznym wołaniem w duszy. Żeby jednak to wołanie usłyszeć, trzeba trudu, trzeba wielkiego trudu wewnętrznego, trzeba nieraz stanąć do walki z takim zakonspirowanym w postaci przyjaciela szatanem, jakim był dla Tyczyńskiego Kakodem (który potem przemienia się w brata Nikodema), trzeba walki z własnym szaleństwem, które i do prawdziwego obłąkania doprowadzić może.

Książka Kudlińskiego zbliża te wszystkie najistotniejsze problemy życia duchowego dzisiejszym „Nie zgniłym inteligentom" i odziera je z fałszywego wstydu, pod wpływem którego nieraz z największą szkodą dla kształtowania swej osobowości tchórzymy przed sobą i ludźmi.

Zofia Roszkówna

Autorzy numeru

Aleksander Rogalski — literat i publicysta poznański. Wybitny znawca zagadnień niemieckich. Autor książki o Niemcach „Już nigdy więcej".

Zofia Roszkówna — krytyk katolicki, współpracowniczka wielu pism katolickich. Żyje w Krakowie.

Tadeusz Sokół — poeta najmłodszego pokolenia poetyckiego. Autor tomu poezji „Pocisk i lira". Żyje w Krakowie.

Nina Rydzewska — poetka i powieściopisarka, osiadła w okolicy jeleniogórskiej. Autorka „Akwamaryny", II wyd. 1947.

Amelia Łączyńska — publicystka, repatriowana ze Lwowa, zrazu do Sopotu, obecnie w Poznaniu.

Stanisław Telega — krytyk i powieściopisarz, badacz twórczości naszych poetów romantycznych, znawca Goszczyńskiego, o którym przygotował do druku książkę. W druku także znajduje się pierwsza jego powieść (nakł. Wiedzy). Kierownik literacki Polskiego Radia w Szczecinie, działacz kulturalny.

Encyklopedia „Odry"

Kaszuby

HISTORIA

Jak wiadomo, Kaszubi są ostatnim odłamem Słowian pomorskich, którzy zdołali zachować swój charakter słowiański. Liczyć ich można teraz na około 200.000 ludności, zamieszkujących powiaty, wejherowski cz. morski (całe nadbrzeże i półwysep Hel z przewagą ludności rybackiej), kartuski, kościerski, starogardzki i części: świeckiego, chojnickiego, tczewskiego i lęborskiego. Małe grupy Słowińców w powiecie słupskim można także tu zaliczyć, bo Kaszubi nie są odłamem ludowym jednolitym, obejmują mnóstwo grup, które różnią się między sobą językiem i folklorem, a odrębność swoją podkreślają z dumą. Jednym z takich odłamów, mających się za zupełnie odmienną grupę etniczną to Kociewiacy, zamieszkujący powiat starogardzki i drugi pierwszemu pokrewny to Borowiacy, zamieszkujący południe tegoż powiatu i Bory Tucholskie. Mimo jednak różnic, łączyła ich wspólna tradycja, pamięć bohaterów narodowych (np. ks. Mszczuja II) i walka ze wspólnym wrogiem. Przez wiele wieków o twardą postawę kaszubską rozbijały się fale germanizacyjne. Ale nie trzeba zapominać, że była to zrazu postawa defensywna, upór raczej biologiczny, niż wypływający z jakiegoś uświadomienia narodowego. Skupił się przeważnie w klasach ludowych, wpartych mocno w ziemię, klasa zaś szlachecka, o ile na spauperyzowała się i opadła do ludowej, a także inteligencka i robotnicza po miastach w znacznej części uległy germanizacji. Dopiero gdy zaczął się w połowie ubiegłego stulecia gorączkowy ruch narodowościowo-konspiracyjny we wszystkich zaborach — silną falą objął i kaszubszczyznę, ale wchłonął ją we wspólny polski program. Nie było mowy o „Kaszubach", nazwa ta używana była przez Niemców w znaczeniu lekceważenia i pogardy, dlatego i ludność sama wolała uchodzić za Polaków. Było tak długi czas.

Wiadomo, że metody eksterminacyjne niemieckie szły dwoma torami: kulturalnym i gospodarczym. Kaszubi nie mieli przed sobą żadnego widoku na awans społeczny co najmniej otwierały się przed nimi trzy kariery: listonosza, żandarma wiejskiego i nauczyciela ludowego, ale tego ostatniego już pod warunkiem przyjęcia języka niemieckiego. Zostawała im najtańsza i najłatwiejsza droga do wspięcia się w górę społeczną, a to poprzez stan duchowny, dlatego tłumnie synowie chłopscy przyoblekali sutanny i warstwa kleru kaszubskiego jedyna reprezentująca ich inteligencję, miała odegrać w historii uświadomienia narodowego Kaszubów i w walce o ich ducha narodowego, wybitną i bardzo zasłużoną rolę.

Gdy rząd pruski przekonał się, że żadnym z dotychczas używanych sposobów hakaty — Kaszubi wynarodowić się nie dadzą, postanowił zmienić zupełnie politykę: uznać Kaszubów jako regionalny szczep germański, odrębny, otoczyć opieką ich folklor i dać im korzyści gospodarcze. Był to chwyt bardzo perfidny: Sohnrey, etnograf niemiecki, napisał pracę o Kaszubach w duchu tego założenia, w jego ślady poszedł dr Lorentz, wychowanek uniwersytetu w Gryfii, przyjaciel i kolega wielu studiujących tam Kaszubów. Napisał doktorską swą rozprawę o Kaszubach i zasłużył się niemało ich językowi, układając pierwszą jego gramatykę. Przymieszkiwał długi czas w Gdańsku i uchodził do czasu swego ożenku z córką niemieckiego pastora za szczerze sprawie kaszubskiej oddanego.

Niektórzy z wybitniejszych działaczy kaszubskich, dali się początkowo uwieść tym przypodchlebnym niemieckim poczynaniom. Gulgowski, nauczyciel ludowy z Wdzydz napisał również książkę niemiecką o Kaszubach, będącą raczej potwierdzeniem tez niemieckich, ale zmieniło się wszystko, gdy na arenę społeczną wystąpił Aleksander Majkowski. Pod jego wpływem kształtuje się ruch młodokaszubski, który zdziera zasłony z niemieckich perfidii. Gulgowski, wraz z żoną, wycofują się z niebezpiecznych ścieżek i przerzucają się na pracę konkretną: ożywienia i propagowania sztuki ludowej. Na tym polu mają niezaprzeczalne i wielkie zasługi. Stworzyli we Wdzydzach (pow. kościerski nad malowniczym jeziorem Wdzydzkim) ośrodek szkoleniowy haftu i koszykarstwa kaszubskiego. Poza tym gromadzili skrzętnie zanikające coraz bardziej okazy sztuki ludowej tworząc małe regionalne muzeum.

W r. 1908 zaczyna dr Majkowski wydawać **„Gryfa"** miesięcznik literacko-społeczny w języku polskim z fragmentami kaszubskimi. Przy Gryfie skupiają się wszyscy wybitniejsi działacze i pisarze kaszubscy jak Rogala, ks. Wrycza. ks. Meyke, Karnowski, Sędzicki i inni. Charakter polskości Kaszubów jest silnie zaakcentowany. Nawiązują się nici tajnych organizacji z Poznaniem i Warszawą. Warszawa zwłaszcza daje silne oparcie narodowe i impuls do dalszej wytrwałej pracy.

Obok grupy kaszubskiej istnieje na Pomorzu grupa czysto polska skupiająca się w **Polskim Towarzystwie Ludowym**. Działają tu najwybitniej: ks. Kupczyński, Czyżewski i działacze kaszubscy polonizujący wybitniej np. Sędzicki. Organem ich to **„Gazeta Gdańska"** wydawana przez właściciela drukarni Czyżewskiego, **„Pielgrzym"**, **„Przyjaciel cz. Gazeta Toruńska"** i **„Gazeta Grudziądzka"**, która dochodzi do 140.000 nakładu. Naczelnym organem politycznym był **Centralny Komitet Wyborczy**, w którym najwybitniejszymi jednostkami byli: ks. Wolszleger, Sikorski i inni. **Obie grupy polska i kaszubska pracują w porozumieniu i harmonii.** Między samymi Kaszubami zachodzą pewne różnice naukowo-kulturalne np. grupa młodokaszubska używa, drukując w gwarze, specjalnych znaków kaszubskich, grupa polonizująca ze Sędzickim na czele używa znaków polskich w gwarze.

Równolegle do akcji oświatowej i kulturalnej szła akcja gospodarcza. Aby się uniezależnić od banków niemieckich, w których zadłużenie się pociągnęło niebezpieczeństwo w postaci sankcji wywłaszczeniowych w razie niewypłacalności — założono **Związek Spółek Zarobkowych, Spółdzielnię „Kupiec", Kasy Reifeisenowskie** i inne instytucje kredytowe. Sędzicki wydaje w latach 1910 — 1911 pismo gospodarcze **„Swój do swego"**. W r. 1910 ogromny sukces zdobywa wystawa gospodarczo-przemysłowa w Kościerzynie.

Bezpośredni wśród szerokich mas ludu podtrzymywali ideę narodową księża, głównie przy pomocy pieśni, która stała się na Kaszubach prawdziwą „arką przymierza" między dawnymi „a nowymi laty" i w lud szli zapaleńcy idei, jak: Tomek Rogala z przewieszonym przez ramię pękiem pantofli na sprzedaż i kosturem w ręku. Wędruje nieustraszony i niezmordowany ze wsi do wsi, aby umacniać wiarę, dodawać ducha i grozić gdzie potrzeba. Opowiadał mi artysta malarz Mokwa, że był świadkiem sceny, gdy na progu chaty bogatego gbura, wydającego córkę za nauczyciela - Niemca stanął groźny Rogala obładowany pantoflami i sękatym kijem stukając w podłogę krzyknął: „Jeśli wydasz córkę za Niemca to cię zasłużona kara nie ominie; nie ujdziesz mojej ręki z grobu cię wydrapię, aby ci pokazać, że grzech przeciw narodowi pomszczony będzie!"

LITERATURA

Zdumiewającym jest, jak dużo ten mały uparty ludek wydał pisarzy i poetów, a przecie warstwę inteligencką miał tylko bardzo nieliczną. Z ludu pochodzili przeważnie ci, którzy za pióro chwytali, wielu księży. Ta predyspozycja artystyczna jest cechą kaszubskiego charakteru. Także charakteryzuje Kaszubów swoisty zmysł humoru, objawiający się we „frantówkach" (krótkich wierszykach). Stałym tematem dowcipów był Kaszuba w sądzie, naiwnie z głupia frant nabierający sędziego Niemca który wściekał się bezsilnie. Piśmiennictwo kaszubskie poszczycić się może całym szeregiem pisarzy począwszy do Krofeya w XVI i Pontanusa w XVII wieku piszących książeczki na użytek religijny swych parafian w języku słowiańskim, po przez Ceynowę wybitnego panslawistę, Karnowskiego do najwybitniejszego Aleksandra Majkowskiego, którego powieść „Zece i przigody Remusa" uważane są za arcydzieło i wykładnik ideologii kaszubskiej. Z żyjących dziś i tworzących pisarzy wymienić można Franciszkę Sędzickiego, o którym już powyżej mowa była, autora dumek, gadek i pięknych kaszubskich bajek, ks. Sychtę autora sztuk regionalnych dramatycznych, Bruna Richerta dziennikarza, Leona Roppella, Andrzeja Bukowskiego i kilku studiujących na uniwersytetach w Toruniu i Poznaniu, a pragnących dalej jeszcze pogłębiać wiedzę o Kaszubszczyznie

SZTUKA LUDOWA

O ile zachowała się w pełni w życiu i literaturze odrębna i dźwięczna mowa kaszubska, o tyle w innych dziedzinach sztuki ludowej odrębność zanika zupełnie. Stroje kaszubskie, z których głównym elementem były bogato haftowane złotą nitką na aksamicie czepce — nie tylko wyszły całkowicie z użycia, ale zaginęły nawet ich muzealne próbki. Znamy je już tylko z fotografii. Haft wznowiony i propagowany przez panią Gulgowską opierał się na motywach branych ze starych skrzyń i odbiegał od wzorów pierwotnych przez wprowadzenie wielobarwności. Teraz dopiero czynione są starania przywrócenia mu tradycyjnego rysunku i ożywienia z powrotem tej gałęzi sztuki ludowej wśród dziewcząt wiejskich. Spółdzielnia Ars w Sopocie przy pomocy Min. Przemysłu i Biura Kontroli Estetyki Produkcji, urządziła w Sopocie w lutym br. 4 tygodniowy kurs haftu pod kontrolą fachową.

Piękne **budownictwo** kaszubskie wyrażające się w typowych chatach drewnianych, o podcieniu ze strony szczytowej ściany, albo podcieniu jednorazowym, w pomysłowo ozdabianych futrynach okiennych i masywnych odrzwiach, zanika również. Kilka zabytkowych chat rozsianych tu i owdzie, zwłaszcza na Kociewiu, a posiadających jeszcze i charakterystyczne kominy, należałoby otoczyć pewną opieką a ich obecnym właścicielom ułatwić utrzymanie ich w odpowiednim stanie.

Ceramika kaszubska, która już przed wojną szeroko była znana i ceniona, obecnie wyrabiana jest tylko przez jeden warsztat w Chmielnie, obok Kartuz, przez majstra Necla. Dwa inne warsztaty w Kartuzach, stoją na znacznie niższym poziomie artystycznym. Necel zamówieniom nadążyć nie może, ale warsztat jego nie rozwija się w kierunku wydajności z powodu braku umiejętnych pomocników. Projektowaną wystawa sztuki ludowej kaszubskiej w Wejherowie da nam przegląd żywych jeszcze i zamierających gałęzi wytwórczości artystycznej regionalnej i unaoczni co jest prawdziwie piękne i wartościowe, a co konjunkturalną naleciałością.

Ponad miarę jednak artystów ludowych wyrosło kilku **zawodowych plastyków** jak: Bracia Drapiewscy Władysław, Leon i Kazimierz z Pelplina, malarze przeważnie kościelni, którzy zdobili pelplińską i płocką katedrę, portrecista Jasnoch Kazimierz z Czerska, rzeźbiarz Cieposz, a przede wszystkim Mokwa — marynista, który objąjąc się po świecie całym i pełniąc czas jakiś obowiązki nadwornego malarza ostatniego sułtana tureckiego nie zapomniał nigdy o swej ojczyźnie, a ile razy przebywał w kraju brał czynny udział w ruchu niepodległościowym.

Rozśpiewany i muzykalny ludek wydał także kilku **muzyków:** Trepczyk komponował melodie kaszubskie, Ruchniewicz, organista w katedrze pelplińskiej, był również szerzej znany, Rzoska kształcił chóry w Wielu. Na czoło jednak tej gromadki wysuwa się ceniony już dziś na całym Wybrzeżu kompozytor i dyrygent najlepszego chóru w województwie gdańskim **Lubomir Szapiński** z Kościerzyny. I ten artysta, jak na prawdziwego Kaszubę przystało okrył się niezapomnianą zasługą przez swą działalność społeczną i organizowania chórów na każdym terenie, przez który przechodził. Aresztowany przez Niemców zaraz na początku wojny, za pracę społeczną w Sopocie, wszystkie lata wojenne spędza w obozach koncentracyjnych (Stutthof, Oranienburg, Mauthausen) i w tych najtrudniejszych warunkach obozowych zakładał i prowadził chóry więźniów polskich i słowiańskich. Doprowadził je do liczby 250 osób.

Tak się przedstawia pobieżny rzut oka na wartości tradycyjne, kulturalne i obywatelskie, które wnoszą Kaszubi do ogólno-polskiego skarbca. W charakterze Kaszubów leżą cechy takie jak **praworządność, poszanowanie władzy, poczucie sprawiedliwości,** a więc mogące z tych ludzi stworzyć najlepszy materiał obywatelski.

Amelia Łączyńska

W najbliższych numerach ukażą się prace Jana Baranowicza, Władysława Dunarowskiego, Adama Dytkiewicza, Bronisława Kretowicza, Józefa Ledwolorza, Franciszka Machalskiego, Egona Naganowskiego, Edmunda Osmańczyka, Stefana Sulimy i innych.